

P I O N

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 8 LUTEGO 1936 R. * NUMER 6 (123)

TREŚĆ: A. UZIEMBŁO: Zdobywać czy tworzyć? * MARJAN PIECHAŁ: Tajemnica * STANISŁAW ADAMCZEWSKI: O t. zw. formalizmie rosyjskim i polskim * JÓZEF ROSSOWSKI: Utrwalanie rozbiórów Polski * JÓZEF GRABOWSKI: Władysław Koziński * LEON CHWISTEK: Zajmująca recepcja * SZTUKA I A.



TENA — STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW i KAROL IRZYKOWSKI: Z powodu słuchowiska „Halo, tu Brygada!” * Z. MIANOWSKA: Pamiętniki * ST. SZCZ., AL. S.: Biografie * MARJAN PIECHAŁ: W. A.: Krajoznawstwo * B. KORZENIEWSKI: Teatr * ST. FURMANIK: Muzyka * W. BĄK, K. IRZYKOWSKI: Przegląd prasy * K. IRZYKOWSKI, STEEAN RYGIEL: Kronika.

ZDOBYWAĆ CZY TWORZYĆ?

Stosunek praktyki do teorii w wielkich ruchach społecznych nieraz już był poruszany i czekał na wyczerpujące opracowanie. Potrzeby, tendencje rozwojowe kuszą unosić do ujmowania ich w pewne systematy, a gotowe systemy wzmagają ruch, nadają mu rozpęd, samowiedzę i same stają się potężną siłą motoryczną o samoistnym zakresie działania. Teoria — z jednej strony służy scaleniu ruchu — z drugiej, ukazując mu jasno końcowe cele, skraca mu drogę, a niejednokrotnie powoduje i jego wypaczenie i — zwyrodnienie.

Przechodzimy zresztą co prędzej do ściślejszego tematu, do spółdzielczości, która nas w tej chwili najbardziej obchodzi.

Zagadnienie to jest dzisiaj modne. Używamy tego wyrażenia, gdyż, pomimo iż wszyscy o niem mówią, zainteresowanie się niem ogólnie jest dość płytkie. Ruch wydawniczy w tej dziedzinie mamy dość słaby. Prace poważniejsze na ten temat stanowią zjawiska sporadyczne. A niemal tak samo rzadko spotykamy się z istotnym pogłębieniem zagadnienia w prasie codziennej.

Ważnym jest natomiast wzmiennik. I — rzecz charakterystyczna — wszystkie one mówią o spółdzielczości jako o czemś doskonałym, znam, o czemś całkowicie jednolitem.

Spółdzielczość, w swoisty sposób ujęta, jest rozwijana odgórnie przez Sowjety. Uwagi niemal poświęca jej faszyzm. Interesują się nią czynniki i socjaliści i klerykali. Spółdzielczość ma według jednych wzmocnić pewne wpływy polityczne, ba, staje się ich ostoją (Belgia). Spółdzielczość ma stać na straży moralności religijnej. Spółdzielczość ma stworzyć podstawy samoistności gospodarczej dla narodów (Poznańskie wczoraj — Ukraincy z Ziemi Halickiej — dziś). Spółdzielczość ma się stać narzędziem antysemityzmu... Ma ona pogłębić świadomość klasową proletariatu... Ma być oparciem dla własności prywatnej... Jest bronią i solidaryzmem i walki klas. Ma stwarzać nowy ustroj z jednej strony i — ma zachować zupełną bezpartyjność i dbać o interes swych członków w ściśle ograniczonym zakresie. I tak dalej.

Więc czemuż w końcu jest ta spółdzielczość?! Jakże są jej cele właściwe? Co ma stworzyć i do czego dążyć; i w jaki sposób można sobie wytłumaczyć tę skłonność do spółdzielczości, jaką objawiają i komuniści i faszyści i klerykali i socjaliści, i solidaryści? Jakże czynniki nią rządzą i jaka jest jej przyszłość? A wreszcie — kto z pośród dzisiejszych jej propagatorów i orędowników musi się na niej zawieść?

I dalsze pytania: czy jest to tylko jedna z form, jedna z metod trafiania do mas, czy też ruch, który pod taką czy inną powłoką zachowuje własną samoistność i własną dynamikę rozwojową? A przypomnijmy sobie w tem miejscu, że tego rodzaju pytanie postawić już nieraz wypadało nie tylko w stosunku do spółdzielczości. Przecież nieraz różne kierunki polityczne usiłowały utworzyć dogodnie dla swoich celów związki zawodowe. Ostatecznie twory te albo zostawały efemerydami, albo też stawały się placówkami polityki klasowej i, o dziwo, tem radykalniejszej w praktyce, im dalsze od radykalizmu było ich kierownictwo. Czy tak samo jest w spółdzielczości?

*

Jest to jedyny ruch społeczny, jak powiada M. Dąbrowska, który powstał pośród „maluczki”. Powstał pośród robotników rocdzelskich, jako usiłowanie wspólnego zapatrywania się w żywność w postaci zdrowej, niesfałszowanej. Rozwijają ją działacze, z których znaczna większość nie pozostawiła prawie żadnej spuścizny piśmienniczej. Zdobywali się oni z trudem na odezwy, komuni-

katy, artykuły. „Naszą rzeczą jest działać — nie pisać” — mawiał ks. Wawrzyniak. Po Stefczyku, którego imieniem nazwany został najpotężniejszy dziś w Polsce dział spółdzielczości kredytowej, zostały dwie broszury, o wartości nie pozostającej w żadnym stosunku do potęgi dzieła.

Intelektualiści, ideolodzy, chętnie szukają zaczątków myśli spółdzielczej u Owena i Fouriera — ale, ilekolewiek znaleźlibyśmy pokrewieństwa pomiędzy ich konstrukcjami a dzisiejszym ruchem, faktem jest, że nie wywarli oni wpływu ani na robotników rocdzelskich, ani na innych pionierów. Uznanie ich za przodków tej ideologii odbywa się na podstawie a posteriori sporządzanej genealogji. A tacy uczeni jak Gide, myśliciele jak Potocki, Abramowski pisali już swe prace na podstawie studiów nad istniejącym żywym zjawiskiem, którego rozwój wyprzedził do ciekawia teoretyczne. Spółdzielczość obracała już wtedy miljardami. Teoria musiała rozpocząć od opisu fenomenu, a nauka mogła tylko śledzić tendencje rozwoju, idącego na przód szybkimi krokami.

Na polskim gruncie spółdzielczość w poszukiwaniu przodków sięga aż do Staszica. Rozwój jej jednak poczyna się dopiero w drugiej połowie ubiegłego wieku, a organizacją powszechną, naprawdę szczerą w swych wynurzeniach zostaje ona w niepodległej Polsce.

Ks. Wawrzyniak np. milczał tak stale i wytrwale nie tylko z przyrodzonego pióro-wstrętu, ale może przedewszystkiem dlatego, że, zdając sobie zupełnie dobrze sprawę z politycznych celów, z politycznej doniosłości swych poczynań — musiał je konspirować. Program jego znajdziemy raczej w tem, co piszą dziś Ukraincy, niż w jego własnych enuncjacjach. Tak samo skrępowany był, może w cośkolwiek mniejszym stopniu, Stefczyk.

W naszych warunkach czas na teorię spółdzielczą polską dopiero teraz nadszedł. Dopiero teraz nadszedł okres, aby rozważania ogólne, oderwane Potockiego i Abramowskiego, którzy myślą wybiegali naprzód, gdy praktyka nasza była jeszcze niezmiernie słaba, albo osnuta mgłą, związać z życiem i połączyć w jedno.

Rzucamy to jako tło pod omówienie najnowszej pracy Zygmunta Chmielewskiego p. t. Czynniki psychiczne spółdzielczości, pracy, która powinna głęboko poruszyć światlejszą opinię publiczną w Polsce, która powinna się stać jedną z najbardziej popularnych książek pośród naszych społeczników.

*

Autor sięga do źródeł socjologicznych całego ruchu. Społeczeństwo bez walki wewnętrznej może być czemś bardzo dalekiem,

TAJEMNICA

*Seledynowe niebo, zmierzch pod niebem senny
i rzeka w płaskich brzegach szeroko rozlana.
Cały krajobraz zgasty, mglisty i jesienny,
jakby żywcem wyjęty z Puviss de Chavannes'a.*

*Nikła gwiazda na niebie, we wodzie odbita,
widmem niesamowitem głab zmierzchu nasycy.
Zasypia zwolna ziemia, ciemnością nakryta,
i ja, najboleńsza ziemi tajemnica.*

Biblioteka
Młodych
Lectur

MARJAN PIECHAŁ

K 1669/86/13

może być nawet dla kogoś niezszczerzalnym ideałem, przecież, przynajmniej teoretycznie, jest możliwe — i zbliżenia się doń jest właściwie celem wszystkich ideologów społecznych. Natomiast społeczeństwo bez spółdzielczania jest wogóle absurdem, sprzecznością w samym założeniu. Spółdzielczanie jest warunkiem spójności nie tylko u ludzi, ale nawet wśród zwierząt. I postęp wszelki jest osiągalny jedynie przez kształcenie metod spółdzielczania. To przedewszystkiem staje się przedmiotem dowodzenia Chmielewskiego.

Pytanie, czy dowodzenie rzeczy tak oczywistej jest potrzebne wogóle, upaść musi wobec rozpanoszonej jeszcze teoryjki. Chmielewski jest działaczem praktycznym przedewszystkiem i, pisząc, odpowiada na głosy, które tylekroć usiłowaly obalić jego stanowisko. A jak dalece potrzebne są te odpowiedzi świadczy jeden uderzający fakt, przytoczony przez autora. Oto nawet nasze szkolnictwo nie postawiło sobie najbardziej zasadniczego pytania, czy mamy wychowywać „bojowców spółzawodnictwa”, czy rycearzy „spółdzielczania”? Czy wychowujemy człowieka konkurencji, zdolnego do usuwania przeszkód (i przeszkadzających), czy też takiego, który na każdym kroku będzie brał udział w organizowaniu wysiłku wspólnego ku tworzeniu nowych dóbr, nowych wartości, które tylekroć usiłowaly obalić jego stanowisko. Chodzi o rozstrzygnięcie najbardziej zasadniczego pytania, czy nakazem moralnym jest walka, czy twórczość?

A przecież rozważenie tych alternatyw jest nieodzowne nawet przed rozpoczęciem układania programu nauki. Czego innego bowiem trzeba, by zdać egzamin konkursowy — czego innego zaś do przedsiębrania tego, czego nikt przed tem nie robił.

I dlatego strony książki, poświęcone doniosłości czynnika spółdzielczania, jakkolwiek w znacznej części oparte są o poprzednie badania, są niezbędne — a nade wszystko są głęboko interesujące i są aktualne właśnie dziś, kiedy gromada ludzka tak często przypomina jakąś niesforną kupę walczących o podział już zdobytego polcia, pozbawioną myśli, że wzmocniona inteligentna praca może pomnożyć ilość bogactwa i dać życie człowiekowi bez krzywdy czyjejkolwiek.

Chmielewski w swych rozważaniach nad organizacją życia ludzkiego pozostawia na hoku sprawę państwa, jako takiego. Nie propaguje myśli sięgania po władzę. Niezależnie od genety tej władzy, czy podstawą jej jest autokracja, czy demokracja — szkodliwy według niego istotnie jest jej przerost, jej omnipotencja.

Zdanie to nie nowe. Jeszcze mocniej podkreśla to szkodliwość całej liberalizmu. Nowy jest stosunek autora do tych obaw. Przerost ten — twierdzi Chmielewski — w pewnym

zakresie, pomimo wszystko, na tle dzisiejszych stosunków musimy przyjąć jako postęp. Kiedy dla liberalisty etatyzm jest złem samym w sobie, dla Chmielewskiego tego rodzaju fetyszym jest zupełnie obcy. Jeżeli państwo przejmuje pewne dziedziny przemysłu, to pomimo wszystko, musimy stwierdzić, że stwarza ono przez to samo sprawiedliwsze podstawy życia. Jeżeli nawet robotnik w fabryce państwowej będzie pracował w tych samych warunkach, co i w prywatnej, przecież zostanie mu skarb bezcenny — świadomość, że dobra przezeń wytwarzane idą na rzecz narodu, społeczeństwa, zbiorowej organizacji, której on jest członkiem — nie na prywatne rozrzutnictwo dla uprzywilejowanych. Zyskuje na tem poczucie godności ludzkiej człowieka pracującego. I z tym momentem niepodobna się nie liczyć. Trzeba należycie ocenić, że etatyzm nie jest jedynie wynikiem przeobrażeń gospodarczych. U podstaw jego w tej samej mierze leżą przeobrażenia pojęć etycznych, etyczno-społecznych, jakim ulega dusza współczesnego człowieka.

Ale etatyzm oczywiście nie jest ideałem, bo ignoruje czynnik dalszy, czynnik, który się musi stać przedmiotem zdobywania, czynnik swobody. Etatyzm nie rozwinię sil drzemających w jednostkach i grupach i dlatego musi mu być położony kres, musi być ustalona granica jego zasięgu.

*

Któż więc ten kres postawi? Społeczeństwo? Jakże? Czy to chodzące luzem, zarabiające lub próżnujące? Czy to układające programy polityczne, obradujące nad zagadnieniami politycznymi, ustrojowymi, połączzone w związki walki z istniejącymi warunkami, czy związki obrony ich?

Chyba nie. Sily społeczne tam skoncentrowane mogą walczyć o formę, nie o treść. Treść samą tworzyć muszą inne związki, inne zrzeszenia — innego rodzaju tendencje — tendencje twórcze, przejęte ideą tworzenia, organizacje budujące.

I tu rozwija się w naszych oczach metoda pracy spółdzielczej. Raiffeisen w Niemczech wygubił w pewnym okresie doszczętnie zwyrodnienie obrotu pieniężnego w postaci lichwy. Wygubił nie przez walkę, ale przez tworzenie spółdzielczości kredytowej. On tworzył to, co zastępowało lichwę, owe „korzyści” z niej płynące. A zniszczył dlatego, że jego celem było nie pogńębienie lichwiarza, ale zbudowanie nowych form obrotu — form racjonalnych.

Nasza spółdzielczość rolniczo-handlowa, gdzie tylko powstaje, podnosi odrazu ceny produktów rolnych i obniża artykuły przemysłowe. Lichwa towarowa ginie tam, gdzie powstaje spółdzielczość. Energia, którą pochłaniały czynniki pasorzytnicze, skierowuje się ku produkcji.

I co ciekawe: Spółdzielczość kredytowa wiejska, Kasa Stefczyka, nie staje do konkurencji z istniejącymi zdrowymi instytucjami finansowymi. Te kapitały, które ona gromadzi — to pieniądze bierne, to grosze drobnego ciulacza, który chowałby je w sienniku czy za piecem — to to, co tylko mała instytucja, instytucja, pozostająca z człowiekiem w stosunkach poprostu rodzinnych, może od niego wyciągnąć. Rolnik zamożniejszy, któremu zależy na zatajeniu tego, co posiada — ucieka ze swym pieniądzem dalej, do miasta, jak to czynił zawsze.

Jeżeli chodzi o mleczarstwo, to znów spółdzielczość uruchamia przedewszystkiem ten surowiec, który w dziki, niekontrolowany sposób rozpyływał się po kraju. Przecież to

z drobnych, chłopskich udojów produkuje się najlepsze, eksportowe masło.

Szanowny Autor nie przeprowadza analizy tego zjawiska, gdyż nie chodzi mu o obliczenie wyników materialnych pracy spółdzielczej, wskazuje tylko na przykłady, w jaki sposób oddolna organizacja dobrowolna umiunie to, czego by odgórna uchwycić nie mogła.

Idźmy tą drogą dalej: jeżeli ta odgórna organizacja (państwa) za pomocą nauczania powszechnego doprowadziła do znajomości przez szeroki ogół umiejętności czytania, pisania, rachunków — to tylko dobrowolna może utwierdzić, wzmocnić tę znajomość, skłaniając człowieka, który z trudem jeszcze pióro w rękach trzyma, do pisania protokołów, sprawozdań i t. d.

Kompetencje organów państwowych i społecznych w życiu gospodarczym dzieli Szanowny Autor w sposób następujący: źródła energii elektrycznej pozostają w rękach państwa, ale podział jej na miejscu powinien należeć do gmin, albo też do spółdzielni. Sprostujemy, że w tym układzie spółdzielni przypada tylko bardzo skromna rola wykończania prac państwowych. I stąd właśnie twierdzenie, że jeżeli się ona zadowoli tylko prowadzeniem przedsiębiorstwa — zostanie narzędziem etatyzmu. Wartość jej będzie wzrastać wraz ze wzrostem wartości psychicznych, które pozwolą skupić w określonych ogniskach czynniki dobrowolnego współdziałania.

*

Najmocniej przemawia do nas Chmielewski wtedy, gdy rekapitułuje to wszystko co sam wyniósł z praktyki spółdzielczej, gdy mówi o siłach w niej drzemających, o przejawach tej energii w pracach poszczególnych narodowości. Wtedy książka jego pulsuje życiem, nabrzmiewa siłą. Wtedy dopiero nie teoria, ale samo życie gada do nas o zdobyciach ludzkiej świadomości. Wtedy do zagadnienia przedsiębiorstwa poczynamy przychodzić nie jak do hali maszyn, ale jako rolnik do swego zagonu, gdzie pod nikłą warstwą ziemi dokonywa się tajemnicza ożywiania uspiętego ziarna, jedna z najgłębszych tajemnic życia, która porywała zawsze ducha, która zrodziła cudowne misterja.

Sama praca rolnika jest przecież tak prosta!

Prosta też jest i praca spółdzielczości. Sklepiki, mleczarnie, kredytówki wszelkiego rodzaju... Gdzież tu jakowyś wielki dorobek kulturalny? Gdzie tu szczyty myśli? W dziedzinie nawet handlowej spółdzielczości, jak dotąd, nie zaspakają wybredniejszych wymagań — stoi na poziomie klasy, której służy. Może o jeden stopień wyżej. O jeden stopień — właśnie o ten, na który ma wyciągnąć swych członków. Gdy wyciągnie, postąpi jeszcze krok jeden, a potem drugi i tak dalej. I na tem polega jej ogromna siła tworząca.

Spółdzielczość to nie nabój dynamitowy, który ma rozsadzić kapitalizm, czy jakikolwiek inny ustrój — to fundament świadomego współdziałania. Ten fundament musi być mocny. Fundament nie może być sfuszowany. I dlatego buduje się wolno.

Idealizm spółdzielczości? Ten ma szeroki oddech. I sięga daleko.

I każde zbliżenie się do spółdzielczości pod kątem widzenia dzisiaj — zawiedzie. Placówki, pozabawione samodzielności wewnętrznej, zginą. A te, które zostaną, pójdą zgodnie do realizowania ustroju, w którym człowiek, czyniąc dobrze dla siebie, oddaje usługi innym. Wznagając siebie — wymaga innych. Ustroju, w którym indywidualność rozwija się w doskonałej harmonii z powszechnością.

Piękna książka Chmielewskiego kończy się napomnieniem, że czynnik duchowy spółdzielczości decyduje o jej wartości i znaczeniu.

Nie silimy się wyczerpać tematu. Pomijamy w tem omówieniu cały szereg zagadnień zupełnie pierwszorzędowego znaczenia, na których oświetlenie nie starczy poprostu miejsca w artykule recenzyjnym. Żeby wyczerpać sprawę — trzeba napisać drugą książkę tej objętości. Wolimy odesłać czytelnika do już napisanej, podnosząc, że stanowi ona w rozwoju polskiej myśli społecznej ważny etap. A siła jej polega na tem, że wyszła z pod pióra człowieka, który cały duży zasób wiedzy zwerifikował z praktyką, — praktyką, która się poczyniała przy wyrabianiu masła, a prowadziła i poprzez hotel ministerjalny i poprzez tworzącą działalność organizacyjną, a zawsze była kontrolowana przez serce czyste i sumienie czule.

A. UZIEMBŁO

SLAWOMIR CZERWINSKI
O NOWY IDEAL WYCHOWAWCZY

II wydanie rozszerzone
Cena egzemplarza oprawnego Zł. 7.—
Do nabycia w Księgarniach.

SKŁAD GŁÓWNY
TOWARZYSTWO KULTURY I OŚWIATY
WARSZAWA, AL. UJAZDOWSKIE Nr. 20

O T. ZW. FORMALIZMIE ROSYJSKIM I POLSKIM

1

Nie wiedzie się u nas dyskusjom na tematy teoretyczno-literackie. Ledwie podjęte, rychło zamierają. Tak się stało i z ciekawą dyskusją o rolę biografiki w badaniach literackich, rzekomo zagrożonej przez t. zw. formalizm. W odpowiedzi na artykuł Boya-Zeleńskiego w obronie biografiki i genetyki (*Wiadomości Literackie*, Nr. 621) K. W. Zawodziński (*Pion* Nr. 117) scharakteryzował „obóz” t. zw. formalistów polskich i wyjaśnił stanowisko teoretyczne formalizmu rosyjskiego. Poczem obaj znakomici antagoniści wrócili każdy do swojej nieporównanej praktyki krytyczno-pisarskiej. Jakby nie troszczyli się więcej o postulaty teoretyczne. Ani — o czytelnika. Ten zaś z przebiegu owej polemiki mógł wyrobić sobie pogląd na sprawę mniej więcej następujący: 1) Istnieje gromadka t. zw. formalistów polskich, dość zgodna widać w pojmowaniu zadań i metod literackiego badania, jeśli można (jak to czyni Zawodziński) mówić metaforycznie o wspólnym jej „szkole” etc; 2) skoro, gdy mowa o polskim formalizmie, dla zilustrowania programu tej „szkoly” badawczej wyluszcza się zasady formalizmu rosyjskiego, to jedno z dwojga: albo działalność „formalistów” polskich zrodziła się dopiero pod wpływem formalizmu rosyjskiego, albo przynajmniej obie te grupy badawcze, polską i rosyjską, cechuje wspólność założeń i metod; 3) taką wspólną obu grupom zasadą negatywną miałyby być lekceważenie studjów nad genetyką pozaliteracką utworów, a zasadą pozytywną — stanowisko abstrakcyjnego estetyzmu wobec dzieł sztuki pisarskiej.

Oto te sugestje, które z tak niewczesnie urwanej dyskusji mógł być wynieść czytelnik, za sprawą bliżej nieobznajmionego, choć interesującego się współczesnym stanem wiedzy o literaturze u nas i gdzieindziej. Może więc warto przyjrzyć się nieco dokładniej, jak wielorakie są oblicza fenomenu, dość niefrasobliwie obejmowanego wspólną nazwą czy też wspólnym wyzwiskiem „formalizmu”.

2

Naprzód tedy — co do formalizmu rosyjskiego, jako wczesniejszego niż polski (przynajmniej jeśli o nazwę chodzi, nie o samą rzecz, lecz o tem później). Mniejsza tu o jego historję na gruncie rosyjskim (krótkie jej przedstawienie znajdzie, kto ciekaw, na początkowych kartkach przedłożonej u nas niedawno rozprawy Żirmunskiego *Wstęp do poetyki*). Nas obchodzi aktualne zagadnienie, wysunięte przez Boya w polemicznym jego artykule: stosunek „formalistów” do biografiki i genetyki, do potrzeby oświetlenia badanych dzieł sztuki pisarskiej faktami życiorysu, środowiska, epoki. Co do tego Boy z dezaprobatą cytując opinię jednego z polskich rzeczowników formalizmu: „wszystkie te sprawy „życiowe” są nam niepotrzebne przy rozważaniu dzieł”.

Zobaczymy, jak to wygląda u współczesnych formalistów rosyjskich, czy i im także przy literackim badaniu są niepotrzebne te wszystkie sprawy „życiowe”. Zajrzyjmy do prac Tynianowa, Szklowskiego, Eichenbauma.

A nie są to bynajmniej jacyś komparsi czy satelci rosyjskiego formalizmu, lecz największe dziś w nim tuzy. Tynianowa — jego monografista (Cyrlin), nieprzychylny zresztą formalizmowi, jak wszyscy marksiści, nazywa twórcą podwalin ruchu („osnowopolożnik”). Szklowskiego to ten, co sformułował szereg zasadniczych definicji, programowo określających postawę badawczą szkoły („Utwór literacki to czysta forma, to nie rzecz (treść), nie materiał, lecz stosunek materiałów” etc); od niego poszły podstawowe terminy formalizmu, przyjmujące się zwolna i u nas: „chwyt” (*prijom*) i „niezwykłość” (ten drugi — w pomyślowym i trafnym spolszczeniu Zawodzińskiego; pierwszy — oczekujący ciągle na udatniejszy przekład). Eichenbaum wreszcie (nawiasem mówiąc, pochodzący z polskich żydów z pod Zamościa) — wysunął się na czoło ruchu od niedawna, podjąwszy ambitny trud nad szeroko (na kilka tomów) zakrojoną monografią Lwa Tolstoja. O skali dzieła daje pojęcie fakt, że tom drugi (1931), obejmujący ponad 400 stron, ma za przedmiot zaledwie jedno dziełko twórczości pisarza, lata sześćdziesiąte zeszłego wieku, (jeśli kto woli po polsku: siódmy jego lat dziesiątek), słowem okres powieści *Wojna i pokój*.

3

I tu jest właśnie coś dla nas, dla obchodzącego nas zagadnienia. Bo taka wiel-

ka machina badawcza, jak owa monografia, to już coś więcej, niż cząstkowe zagadnienia, które opracowują w swej badawczej praktyce Żirmunski i Tynianow (do drugiego z nich powróci się jeszcze); te bowiem można preparować, abstrahując mniej lub więcej od t. zw. pozaliterackich („życiowych”) szeregów zjawisk. Ale tu, u owego Eichenbauma, mamy do czynienia z t. zw. pełną monografią, obszernie zajmującą się całkowitym dorobkiem twórczym pisarza, zatytułowaną poprostu *Lew Tolstoj*, bez żadnych w nagłówku restrykcji czy zacięń — tak rozległego zakresu przedsięwzięcia.

I tu, biorąc do ręki tę ciekawą monografię, wchodzimy odrazu *in medias res* problematu, postawionego przez Boya w jego filipice przeciw „formalistom”: *człowiek czy dzieło?* Z zajęciem przyglądamy się rozwiązywaniu tego problemu przez „formalistę” — rozwiązywaniu *praktycznemu* (nie jego — co grubo łatwiejsze! — teoretycznemu rozstrzygnięciu). A pamiętni brzmienia recept polskiego „formalizmu”, cytowanych w artykule Boya, oraz pozostając pod sugestją pewnych partyj repliki jego oponenta. — gotowiśmy oczekiwać, że formalista-Eichenbaum poprzestanie na analizie „estetycznej” dzieł Tolstoja, a conajwyżej na wskazaniu ich miejsca i typu w ewolucji rodzaju powieściowego, że natomiast zlekceważy owe „niepotrzebne” sprawy „życiowe”. Ze — jeśli wogóle uwzględni element biograficzny (poza biografją ściśle literacką) — to ograniczy go do minimum, że nie będzie się wdawał w poglądy pisarza (o ile wyraziły się poza dziełem), że charakterystykę epoki tolstojowskiej zredukują do spraw jej „życia literackiego”, że nie zechce wglądać w poufne sprawy stosunków i uczuć pisarza najbardziej osobliwych: erotycznych, rodzinnych, domowych.

Otóż nie podobnego! Oczywiście — celem ostatecznym zabiegów badawczych monografisty, celem, nie spuszczanym z oka ani na chwilę, jest studjum dzieł Tolstoja, jego sztuki powieściopisarskiej, jego twórczych sposobów i powieści. Ale — przystąpił tu autor do tego zadania z tak rozległym aparatem pomocniczym, jak najprawowitszy filolog starej daty, tyle, że daleki od jakichkolwiek tendencji „bronzowniczych”. Ujawniwszy rzecz chronologicznie, zgrupował i skonfrontował w niesłychanej ilości świadectwa i źródła do epoki tolstojowskiej: listy, pamiętniki (także *inedita*), artykuły prasowe. I to nie tylko w zakresie stosunków literackich epoki, lecz również politycznych, społecznych, obyczajowych. W biografizmie swoim nie ograniczył się monografista do osoby Tolstoja. Dał dokładnie udokumentowaną charakterystykę ojca pisarza oraz jego żony (Sofji Andrejowny), zardrosnej o dawną, z czasów kawalerskich, chlopską konkubinę męża, roztoczył perypetje i fluktuacje nieporozumień oraz pojednań małżeńskich. Przedstawił sylwetki przyjaciół i gości, stan gospodarki wiejskiej w Jasnej Polanie, zatargi z chłopami, stosunek do władz powiatowych i t. d. Wskazał, jak cały ten materiał biograficzny przetransponował się literacko w figury i sytuacje powieści Tolstoja.

Tak się ma sprawa z rzekomym *antibiografizmem* formalizmu rosyjskiego w jego praktyce badawczej. A jak wygląda ów drugi jego (jakoby równie nieugięty) postulat *antypsychologizmu*? W toku monografii Eichenbauma krystalizuje się zwolna — jako jej produkt niejako uboczny — dokładny i wyrazisty portret psychologiczny Tolstoja, pisarza i człowieka — z jego charakterystyką, poglądem na świat, stosunkiem do ludzi, spraw i rzeczy.

Ale pozostaje jeszcze kwestja metodycznej najważniejsza. Czy w monografii „formalisty”-Eichenbauma nie zachodzi ów kardynalny grzech *pomieszczenia metod*, przeciw któremu (według relacji *Pionu*) na zjeździe lwowskim wypowiadał się słusznie prof. Krikl, a który prof. Kołaczkowski wytknął w *Marchalcie* kleinerowskiej monografii o Mickiewiczu. To znaczy: czy ów Eichenbaum nie pomieszał metod biograficznej, psychologicznej, socjologiczno-literackiej i estetycznej, operując niemi naprzemian, w jednej płaszczyźnie, zamiast hierarchicznie podporządkować jednej z nich wszystkie pozostałe. Może usiłował w ten sposób dać rzekomym równoważnik poznawczy całkowitego kompleksu zjawisk, składającego się na tradycyjnie pojęte dzieje „życia i twórczości” pisarza? Czy nie cechuje więc jego książkę to, co literaturologzy marksiści w polemikach z przeciwnikami lubią określać jako „bezprincipny eklektizm”?

Otóż nie odnosi się takiego wrażenia z książki Eichenbauma. Zgrupowawszy mnóstwo materiału historycznego i biograficznego, autor nie daje się ponieść powodzi jego

szczegółów. Każdy dokument stara się zawsze rozpatrywać pod kątem *jednego* zagadnienia, które hyl sobie postawił. Zagadnienia *specyficjnie literackiego*: jak przeobrażał się Tolstoj stopniowo z pisarza-dyletanta, z dymisjonowanego wojskowego-ziemianina, zabawiającego się literaturą, — w pisarza-profesjonistę, świadomego wszystkich arkanów pisarskiego kunsztu, pisarza nie tylko z techniką zawołowca, ale i z psychiką zawodowca. To przeobrażenie się psychiki pisarza wyraziło się w ewolucji jego sztuki pisarskiej: w powolnym przetwarzaniu się koncepcji zamierzonych dzieł, w ich kompozycji, w sposobie deformowania w nich materiału, w ich artystycznym wyrazie. Z drugiej zaś strony, to przeobrażenie się psychiki, wyrażające się w dziele, odbywało się w konkretnych historycznych warunkach, ściśle określonej atmosferze domowo-gospodarskiej, rodzinnej, socjalno-literackiej, politycznej. I naogół autor monografii umie przekonać czytelnika, że każdy szczegół owego przeważnie pozaliterackiego materiału, który tak obficie zgromadził, był mu potrzebny do starannego wykreślenia tej skomplikowanej krzywej, w jaką układa się przebieg ewolucji pisarskiej Tolstoja.

4

Prawie równocześnie z pierwszym tomem monografii Eichenbauma (1928) ukazała się praca drugiego z wymienionych tużów „formalizmu”, Szklowskiego. Poświęcona również Tolstojowi, a właściwie jednej tylko jego powieści. Jej tytuł (*Materiał i styl w powieści L. Tolstoja „Wojna i pokój”*) sam przez się określa postawione w książce zagadnienie: zbadać jakim deformacją uległ w powieści Tolstoja surowiec twórczy (tworzywo), jak na tę jego deformację oddziałal nacisk specyficjnych praw czy wewnętrznych wymagań tego rodzaju literackiego (t. j. powieści), w który się ów surowiec wcielił. Starając się odtworzyć ów pozaliteracki materiał w jego postaci surowej, przedtwórczej, Szklowski również obficie wprowadził do swej książki element genetyczny. Badanie źródeł historycznych powieści (w rozdziale 8 książki) techniką równoległego zestawiania źródeł historycznych i tekstu powieści, całą swoją procedurą (nie mówię: celem badawczym tego zabiegu!) żywo przypomina analogiczne sposoby „wpływologów” starej daty. Równie starannie spożytkowuje Szklowski socjologiczne i psychologiczne czynniki genezy powieści (ziemiaństwo i wojskowość pisarza), a w oświetleniu biograficznym tej genezy nie waha się np. snuć obszernego wiodu z pamiętnikarskiego opisu... powozu, którym Tolstoj odbywał podróże.

Myślę, że obie te książki „formalistów” rosyjskich, które powyżej zreferowałem, przeczytałby bez trząsu nie tylko autor *Obrachunków fredrowskich*, ale i nie jeden prawowitny wyznawca dawnych metod historyczno-filologicznych. Powiedzieli by sobie zapewne na temat „formalizmu”: Nie taki djabeł straszny, jak go malują... polscy „formaliści”.

Inna rzecz, że w Rosji obie te książki uległy gwałtownej krytyce nie ze strony ortodoksoów... formalizmu, lecz ze strony ortodoksoów marksizmu literacko-badawczego. Upatrują oni w tych książkach odchylenie („uklon”) od „czystej linii” formalizmu w kierunku biograficznym i socjologicznym (brak mi tu miejsca na szczegóły tej ciekawej dyskusji).

Jeśli chodzi o *socjologizm*, to w istocie — bardzo obecnie interesują formalistów rosyjskich zjawiska, należące do „szeregu”, najbliższego „szeregowi” zjawisk ściśle literackich, zjawiska t. zw. „życia literackiego”. Sam Żirmunski zredagował i opatrzył wstępem przekład rosyjski znanej książki Schückinga *Soziologie der literarischen Geschmacksbildung*.

I inny, wspomniany już wyżej, wybitny przedstawiciel „szkoly”, Tynianow, w swoim obszernym zbiorze studjów (*Archaisty i nowatory*, 1929) bardzo szeroko uwzględnia owe zjawiska „życia literackiego”, każdy rozważany przez siebie fakt literacki umieszczając w ściśle określonym środowisku stosunków literackich epoki, jej literackich walk, gustów, pojęć i uprzedzeń, oraz właściwych jej sposobów pisarskich. Wprawdzie (żeby posłużyć się tu znanem rozróżnieniem Vosslera) Tynianow poprzestaje tylko na *wewnętrznej* historii zjawisk literackich, nie zapuszczając się w ich historję *zewnętrzną* (t. j. genezę biograficzną i socjalną w szerszym znaczeniu); ale bo też i tematy jego praktyki badawczej (nie teorii) zawsze dotyczą jakiegoś wycinka zjawisk literackich, jakiegoś cząstkowego ich zagadnienia, a nie rozrastają się do zakresu pełnej monografii pisarza lub dzieła. Może to bardziej odpowiada typowi jego umysłowości, a szerególnie jego ostrożnej, czujnej, wyczulonej niemal świadomości, z jak pajączko delikatną siatką krzyżujących się zjawisk ma do czynienia badacz literacki. Woli się więc ograniczać do najbliższego ewolucji literackiej szeregu faktów: do ich genetyki wyłącznie literackiej.

Niemniej jednak postawa badacza Tynianowa jest *stricte* historyczna. To też w dwu rozprawach teoretycznych, otwierających książkę, mocno akcentując potrzebę *historyczności* ujmowania rozważanych zjawisk literackich, jako jedynie możliwego; a nie dającego się ominąć nawet tam, gdzie badacz chce go celowo uniknąć, gdy chce utwór rozważać statycznie, niezależnie od tej dynamiki ewolucyjnej, w której nieustannym nacisku utwór się kształtował. „Izolując utwór literacki, — powiada Tynianow — badacz wcale nie umieszcza go w płaszczyźnie pozahistorycznej, lecz zbliża się doń z niewłaściwym, niedopasowanym aparatem współczesnika innej epoki” (t. j. innej, niż ta, w której utwór powstał). I nieco dalej: „Izolując utwór literacki albo autora, nie przenikniemy także i do jego indywidualności”. Takie izolowanie od dziejowego podłoża („immanentne”) rozważanie literackiego utworu uważa Tynianow za fałszywą go abstrakcję.

To też daremnie szukali w studiach Tynianowa jakiejś estetycznej oceny utworu ze stanowiska abstrakcyjnego, izolowanego historycznie, oceny pod kątem ogólnoludzkim, „wieczystym”, czy jakkolwiek to się nazywa. Jego wysiłek badawczy zmierzają zawsze ku temu, aby tak otoczyć dzieło historyczną atmosferą epoki jego powstania, by móc na nie spojrzeć oczami jego współczesnika. Zawsze go bardziej obchodzi historia tekstu i recepcja tekstu, niżli „samowystarczalny” tekst *sub specie aeternitatis*.

Cokolwiekbyśmy powiedzieli o takim stanowisku (o jego skrupulatnej rzetelności badawczej i o jego — beznadziejnym relatywizmie), jedno jest pewne: jakoś to nam się niezupełnie zgadza z tym opisem postawy badawczej rosyjskiego formalizmu, jaki znajdujemy w replice Zawodzińskiego na artykule Boya. Mówi się tam o „oczywistości istnienia ukształtowań słownych... bezbłędnych, ostatecznych, nie dających się prześcignąć, zawsze i powszechnie aktywnych estetycznie”; a dalej: „Dotrzeć do istoty takich ukształtowań, wdrzeć się w tajemnicę dzieła sztuki — oto były bodźce „formalistów” (rosyjskich)”. Czyżbyż uż tak zasadniczy zwrot nastąpił w poglądach ich przodowniczych teoretyków między okresem „Opojazdu” (1916 — 19) a latami 1924 — 7, z których pochodzą zacytowane rozprawy Tynianowa.

Nie jest i to wyłączone. Bo co ogólnie uderza zarówno w teorii, jak i w praktyce formalizmu rosyjskiego, to jego zasadnicza nieufność do wszelkiej aprioryczności, wszelkiego doktrynerstwa, jego ostrożny i sceptyczny empiryzm, ustawiczne konfrontowanie teoretycznych założeń z praktyką badawczą (ogarniającą coraz to szersze problemy), niezmordowane korygowanie teorii, jej pogłębianie, ciągła jej rozbudowa. A teoria oczywiście zyskuje na tem. „Bo jeśli fakty podważają teorię”, — tak w jednej ze swoich książek sparafrazował Szklowski znaną zasadę heglowską — „to tem lepiej dla teorii”.

I gdzie w tem wszystkim sekciarstwo, ciasnota, ekskluzywność skostniałej doktryny?

5

No, ale polski „formalizm”? Jego teoria? I jego praktyka?

Teoria jego nie mogła jeszcze ani skostnieć w doktrynę ani jakichkolwiek faz ewolucyjnych odbyć — prosto dlatego, że — nie istnieje, że bytuje w fazie przedstworzenia, w stanie mgławicowym. Nie istnieje dotąd ani jedna polska praca teoretyczna, zrodzona pod wyraźnymi auspicjami formalizmu, która stała się jeśli już nie kanonem „szkoly” (hyle nie — niezachwianym!), to przynajmniej punktem wyjścia dla dalszych dyskusji, busołą w praktyce (przez też praktykę z kolei korygowaną!).

Stąd to i sama nazwa „formalizmu” jest u nas dotąd dość nieokreślona; pojmuje się ją raczej domyślnie, etymologicznie i tem samem — wieloznacznie. Gdzież ten polski autorytatywny teoretyk „formalizmu”, żeby na jego interpretację co do znaczenia samej nazwy „szkoly” można się było z całym przekonaniem powołać?

Stąd też tak trudno określić, kogo u nas z praktyków-badaczy, torujących nowe drogi w badaniu literackim, można tak zupełnie napewno do „formalistów” zaliczyć. Nastręczył się ten kłopot i w niedawnej dyskusji. Po srogiej deklaracji wojennej Boya przeciw formalistom, K. W. Zawodziński, jako z pośredniemi „formalistów” krajowych najbardziej świadomy wojennych obyczajów, usiłował pośpiesznie (*in articulo belli*) zarządzić rejestrację powołanych pod broń towarzyszy obozu. Ale choć im wynalazł i „sztandar” i „chorążego”, — sam się przeraził szczupłością zastępu i zgola niewojskową prezencją tej zewsząd zhiernej drużyny. Na tej przygodnej werbunkowej liście znalazł się i — niżej podpisany. Milebny to sobie kiedyś wspominał, że „na prawym flanku jam w tej armii pierwszym był grenadierem” (pierwszym — oczywiście według alfabetu) — cóż, kiedy

sam mam skrupuły, czy mi przysługuje miejsce, choćby jako rezerwiście, w tym improwizowanym zaciągu pod „sztandar” polskiego formalizmu. Te bowiem książki, które mi legitymuje autor artykułu moje po temu uprawnienia, wcale nie zrodziły się pod auspicjami „formalizmu”; oczywiście rosyjskiego — bo o polskim w owych latach było jeszcze zupełnie głucho. I kiedy je obecnie porównywał z współczesną im latami (a scharakteryzowaną powyżej) monografią formalistów rosyjskich, widzę, jak bardzo w metodzie swojej są od tamtej odmienne, choć zrodziły się z pokrewnych reformatorskich pobudek. A wspominał o tem dlatego, że zmierzam ku rzeczy ogólniejszej.

Oto chcę stwierdzić, że dla tych u nas nowatorów badawczo-literackich (nie nowinkarzy), którzy dali coś więcej niż zapowiedzi, zachętę i podniętą stał się nie formalizm rosyjski (którego przeważnie nie znali), lecz odnowicielskie prądy w humanistyce zachodniej, reprezentowane przez takich choćby znakomitych uczonych, jak Croce, Wölfflin, Walzel. Umyslnie ograniczając się do tych trzech tylko, którzy niewątpliwie wpływ wywarli także i równocześnie — na formalistów rosyjskich. To jedno.

A drugie. Skoro mowa o tamtych, obcych, pośrednich ekscytatorach odnowicielskiego ruchu w naszych badaniach literackich (jakkolwiek bądź ten prad ożywczy nazwiemy — formalizmem czy inaczej), — jakże tu nie wspomnieć z wdzięcznością o dwu przodowniczych inicjatorach tego ruchu — polskich. O jednym z nich pamiętają naogół rejestratorzy i dziępisarze literacko-badawczego pionierstwa u nas: to nieżyjący już Ignacy Matuszewski. Natomiast zapomina się nazbyt często o niepożytej zasłudze drugiego, co — na uboczu

od przygodnych dyskusji — nadal wciąż jest nieustraszoną pionierem i eksploratorem na nowych szlakach sztuki badawczej. On to — Kazimierz Wóycicki — założył u nas podwójny pod nowoczesną teorię i praktykę studjów nad formą dźwiękową literackiego tekstu. Jego podręczniki i prace dydaktyczne, pełne świetnych analiz i nieocenionych wskazań metodycznych, przez lata urabiały w umysłach świadomość co do potrzeby zerwania z odwiecznym trybem pozaliterackich metod w badaniu. Jego dwie prace ostatnie (o pozytywistach i o Asnyku) są wzorem żmudnej a instruktywnej praktyki — nie teorii już! — w zakresie rekonstrukcji „życia literackiego” minionych epok (tak pilnie dziś uprawianej przez „formalistów” rosyjskich). I wreszcie jest on autorem publikacji wcześniejszej, z r. 1914, do dziś nieprzedawnionej i szczególnie aktualnej w obecnej dyskusji, a noszącej wymowny tytuł: *Historja literatury i poetyka*. W niej to właśnie Wóycicki, pierwszy u nas w tak szerokim wywodzie, a współcześnie z inicjatorami rosyjskiego „formalizmu”, uzasadnił niezłębność i znaczenie poetyki, jako właściwej metodycznej podstawy w badaniach historyczno-literackich, oraz wyłożył zasady przetworzenia ich metod w tym duchu. I od tej to publikacji datuje się u nas moment przelomowy w poglądach na metodykę naukowego badania literatury.

Mają więc na czem się oprzeć i mają do czego na gruncie ojczystym nawiązać „formaliści” polscy przy zamierzonym wnoszeniu i umacnianiu teoretycznych swoich konstrukcyj. A z ich programowych wynurzeń odnosi się nieraz wrażenie, jak gdyby zabierali się do tej budowy na nie-
tkniętym i martwym ugorze.

STANISŁAW ADAMCZEWSKI

UTRWALANIE ROZBIORÓW POLSKI

Zdawałoby się, że z chwilą odzyskania niepodległości zerwiemy przedewszystkiem z rozgraniczeniem byłych zaborów, cohy się powinno wyrazić w usunięciu odpowiednich nazw z języka, bo to przecież nie wymaga wielkich zabiegów.

A jednak pomimo wielkich przemian, dokonanych już i dokonywających się jeszcze w dziedzinie jednolicenia państwa, dzielimy nadal Polekę na zabory, w mowie i piśmie, posługując się określeniami wyrażającymi właśnie dawne zabory.

Czemże bowiem jest tak dzisiaj rozpoznać nazwa *Malopolska*, jeśli nie Galicją? Przecież nie o *Malopolskę* w znaczeniu historycznym tu chodzi, bo tamta obejmowała także Lublin, Kielce i jeszcze dalej na północ. A nie te ziemie mamy na myśli, kiedy mowa o powodzi w *Malopolsce*, o współpracy dwóch narodów w *Malopolsce Wschodniej* (*Gazeta Polska* z 9.XI b. r.) lub o potrzebie połączenia Kielc z *Malopolską*. Jest to poprostu Galicja, której ze wstydu wobec niepodległości nie nazywamy po imieniu, lecz przemycamy pod płaszczykiem *Malopolski*.

Dla przeciwstawienia drugiego zabór nazywamy *Wielkopolską*. Również niewłaściwie, bo rozumiemy przez nią nie *Wielkopolskę* w znaczeniu historycznym, gdyż obejmujemy tą nazwą często Pomorze, a czasem i Śląsk, a natomiast mało kto z posługujących się nią ma na myśli Wieluń lub Kalisz, które również do *Wielkopolski* w znaczeniu historycznym należą.

Wreszcie *Kongresówka* albo i zgola *Królestwo*. Czyż potośmy odzyskali niepodległość, żeby się posługiwać nazwą *Kongresówka*, pochodzącą z czasów zaborczych? A cóż powiedzieć o królestwie w państwie będącym republiką? Wprawdzie tej nazwy rzadziej się używa, ale o królewskich i królewiankach często się jeszcze słyszy. Jeśli to wyraz tęsknoty do przeszłości, to wcale niczaszczytnej, bo królem tego królestwa był przecież monarcha jednego z państw zaborczych.

Słabym argumentem jest tłumaczenie, że łatwiej jest powiedzieć jednym słowem *Malopolska* lub *Kongresówka*, a trudniej wyliczać województwa. Przecież można powiedzieć *Polska południowa* lub *województwa południowe*, albo wprost przystość dane województwo. A można też dokładniej powiedzieć *krakowskie, przemyskie, kieleckie, radomskie*. Bo posługiwanie się *Malopolską* — to podświadome odgraniczanie się od reszty Polski kordonem państw zaborczych.

Inna rzecz, kiedy chodzi o przeszłość, czasy porzoborowe. Wtedy nie można mówić o województwach, bo ich nie było. Ale też niema potrzeby krępować się w użyciu nazwy *Galicja*, czy *Królestwo Kongresowe*, bo nazwą rzeczywistości nie zmienimy. Używanie nazwy *Malopolska* w odniesieniu do owych czasów jest również niewłaściwe, bo mówiąc o nich mamy na myśli Galicję, więc poco wprowadzać w błąd.

kraju nie mamy szczęścia. Posługując się nazwą *Malopolska*, dzielimy ją często na wschodnią i zachodnią, a zwłaszcza często posługujemy się nazwą *Malopolska Wschodnia*, często przez wielkie W, jakby dla podkreślenia jej odrębności. A jeśli się uwzględni, że często się u nas mówi o *Ukrainie sowieckiej*, to nasuwa się sam przez się wniosek, że jest także niesowiecka, ta właśnie zamaskowana nazwa *Malopolski wschodniej*. Mieści się więc w tej nazwie jednocześnie jakby tęsknota do c. k. Galicji, a zarazem gest grzeczności dla Ukraińców, choć przesadny, bo prócz Ukraińców mieszkają tam także Rusini, którzy nie chcą być Ukraińcami, pomijając już, że mieszkają i Polacy.

W podobny sposób mówimy o *Białorusi sowieckiej*, jak gdyby była jeszcze jakaś inna Białoruś, niesowiecka, chyba w Polsce. Nie chodzi tu oczywiście o zaprzeczenie istnienia Białorusinów w Polsce, jak nie przeczymy istnieniu Rusinów i Ukraińców, ale uznawanie przez Polaków Białorusi w Polsce to za duże ustępstwo.

Wreszcie jest w użyciu i *Litwa Kowieńska*, znowu w przeciwstawieniu do innej, widocznie wileńskiej. I znowu wielkoduszny gest wobec Litwinów, bo skoro samym Litwinom wystarczy nazwa Litwa, to skądże u Polaków ta potrzeba podkreślenia, że to tylko kowieńska, w przeciwieństwie do innej jeszcze, wileńskiej? Polaków w kowieńszczyźnie jest więcej niż Litwinów w wileńszczyźnie, a jednak niema w języku litewskim nazwy, zaznaczającej prawa Polaków do Kowieńszczyzny, tak jak w polskim ustępuje się Litwinom wileńskie.

Ze to jest rozrzutność kosztem całości Polski, a nie jakaś uzasadniona konsekwencja, tego dowodzą nazwy ziem zamieszkałych przez Polaków a leżących poza granicami dzisiejszej Polski, których nie nazywamy *Polską*. Nikt w Polsce nie nazywa części Pomorza czy Poznańskiego należących do Niemiec *Polską zachodnią*, nikt w Polsce nie nazywa Mazowsze pruskiego *Polską północną* lub *pruską*, choć konsekwencja tego wymagała.

Nie tylko więc nie wyrażamy zaborczych zaniarów do ziem zamieszkałych przez Polaków poza granicami Polski dzisiejszej, jak je wyrażają Litwini lub Rusini czy Ukraińcy odpowiednio spreparowanymi nazwami ziem zamieszkałych częściowo przez ich rodaków w Polsce, ale, co dziwniejsze, nawet ziemie leżące w granicach państwa polskiego określamy nazwami ignorującymi nazwy historyczne oraz dzisiejszy administracyjny podział Polski, a potwierdzającymi podział porzoborowy i jakby zapowiadającymi nowe rozbiory.

A to już, jak u niepodległe państwo, chyba za dużo.

JÓZEF ROSSOWSKI

WŁADYSŁAW KOZICKI

Stanowczo musi się powiedzieć, że los uwziął się na Lwów. Uhywają mu ciągle wartościowi ludzie. Jeżeli już kogoś nie wessie Warszawa, to w sukurs jej przybywa śmierć. Trudno wstrzymać się od takiej uwagi, gdy przychodzi pisać o stracie poniesionej przez Lwów z powodu śmierci historyka sztuki, krytyka i literata prof. Władysława Kozickiego. Prawda, że stratę tę poniosła cała Polska, ubył jeden z czołowych uczonych i wielostronnych pracowników na polu sztuki, ale Lwów tą śmiercią jest silnie dotknięty, bo dotkliwiej poszkodowany.

Czem był prof. Kozicki dla Lwowa mogą wskazać choćby tytuły i funkcje wymienione przy jego nazwisku w uniwersyteckim programie wykładów: dr. fil., profesor historii sztuki nowożytnej; kierownik Instytutu historii sztuki nowożytnej; współpracownik Komisji hist. sztuki Polskiej Akademji Umiejętności; członek przybrany Towarzystwa Naukowego we Lwowie; członek komisji pomnikowej m. Lwowa; członek okręgowej komisji konserwatorskiej; były prezes Zawodowego Związku Literatów polskich we Lwowie; zastępca przewodniczącego kolegium znawców sądowych dla ochrony praw autorstwa z zakresu sztuk plastycznych; były radca Wydziału Krajowego i b. kierownik departamentu fundacyjnego w tymczasowym Wydziale Samorządowym.

Tyle mówi program. Ale to jeszcze nie wszystko. Musi się dodać koniecznie bodaj jego długoletnią pracę na stanowisku krytyka teatralnego i sztuk plastycznych w jednym z cenionych pism lwowskich. Praca ta bowiem związała go tysiącami węzłami ze wszystkimi mieszkańcami miasta. Jak ją wykonywał, wskazują, między innymi, następujące opinie ludzi, którzy go znali, nim się interesowali, lub z nim się stykali:

„Nawet w krytyce artystycznej miał dr. Kozicki — pisze p. J. Kiljan-Stanisławska w wspomnieniu pośmiertnym — konflikty między swą surową wiedzą i sądem

o dziele sztuki, a między gorącym sercem, które nie pozwoliło mu nigdy skrzywdzić zbyt bezlitosną oceną żadnego, choćby najslabszego artysty. Należy brać z każdej twórczości to, co jest w niej najlepsze, bo do ostatecznej oceny nie mamy jako ludzie omylni prawa, — mawiał zawsze”.

Dr. Jerzy Gittler, który, jako asystent przy katedrze historii sztuki, miał sposobność przyrzeć się bliżej pracy prof. Kozickiego, podkreśla fakt zmiany jego stosunku do ekspresjonizmu, wynikłej z badań głębszych nad istotą tego kierunku. Początkowo zwalczał ekspresjonizm bardzo zaciekle, co było zresztą zrozumiałe u człowieka, który wrósł duszą w badany przez siebie renesans. Ale jednakże na tem stanowisku nie pozostał, jak to uczyniło wielu ludzi o ograniczonych horyzontach myślowych. W niedługim czasie pisał już o nowej sztuce obiektywnie, ze zrozumieniem rzeczy, a wielkim ekspresjonistom przeszłości poświęcał wiele „uwagi na ćwiczeniach i seminarjach uniwersyteckich.

Osobny i to rozległy rozdział należałoby poświęcić jego działalności literackiej, o której tylko okólnie wspomina program cytowany na wstępie. Pisząc o prof. Kozickim, jako o literacie używa prof. Lempicki następującego określenia: „był przedewszystkiem artystą, literatem, miłośnikiem piękna... Uprawiał z zapalem literaturę piękną... Miał ś. p. Kozicki niewątpliwie talent niepośledni; literatura była przez długie lata terenem najbliższych mu wysiłków twórczych; chciał być poetą, był nim, chciał dawać z siebie co najlepsze”.

Z literaturą nawiązał zmarły kontakt dość wcześnie. Stał blisko Jana Kasprowicza. Był jednym z organizatorów lwowskiego Związku naukowo-literackiego, tak bardzo zasłużonego w dawnym, przedwojennym Lwowie. W czasie wojny widziemy go w Zakopanem w towarzystwie Kasprowicza, Żeromskiego i Staffa. Płon pracy literackiej prof. Kozickiego był też obfity, a teren

działalności pisarskiej rozległy. Nie mówiąc już o drobnych wierszach, tłumaczeniach, przygodnie drukowanych fragmentach dramatów i różnych artykułach, twórczość jego literacka objawiała się przede wszystkim w dramacie a następnie w powieści i studjach krytycznych. Oto tytuły jego dzieł: dramaty: *Wolne duchy*, *Święto kos*, *Syn marnotrawny* i *Euforjon*; powieści: *Ziemia*; poezje i szkice krytyczne: *W gaju Akademosy*.

Jakkolwiek działalność literacka ś. p. Kozickiego była poważna, nie mniej jednak — zdaje się — musi ustąpić na plan drugi wobec jego pracy naukowej jako historyka sztuki. Nie chcę tu mówić o jego zasługach jako profesora uniwersytetu, chociaż wykształcił się u niego cały szereg poważnych młodych historyków sztuki. Na przód bowiem wysuwa się prof. Kozicki jako badacz naukowy. Jeden z najlepszych znawców włoskiego renesansu, który znalazł do drobnych szczegółów, nie zamyka się jednak w tym świecie i dziś jeszcze uważany przez wielu za najwyższy wykwit sztuki. Tak jak drobiazgowo rozpatrywał na wykładach renesans, tak z wielką miłością mówił o Rembrandcie, który był mu duchowo niewątpliwie bliższy i jako człowiek i jako artysta. Dzieło Rembrandta interpretował Kozicki bardzo głęboko i pięknie. Starał się nie zamknąć w granicach jednego stylu lub jednej epoki. Wiedzę o sztuce chciał opanować na jak najszerszej platformie, a następnie wykorzystać osiągnięte w ten sposób zdobycze w dziedzinie analizy formalnej dzieł sztuki.

Najważniejszą jednak, chociaż może najmniej znaną, była działalność profesora Kozickiego na polu historii sztuki polskiej. Wielką sławą cieszyło się dawne jego dzieło: *Michał Anioł*, i ono zapewne sprawiło, że mówiło się znacznie mniej o Kozickim jako badacz sztuki narodowej, niż o Kozickim jako o znawcy renesansu. Uwypuklenie i

wysunięcie na pierwszy plan właśnie tej rodzimej jego działalności, jako monografisty Wittiga, Sichulskiego, Jarockiego, a zwłaszcza ostatnio opracowanego malarza XIX wieku Rodakowskiego, jest pilnym obowiązkiem polskiej krytyki naukowej w dziedzinie historii sztuki. Trzeba bowiem podkreślić, że badania nad sztuką polską XIX wieku były dotychczas zaniedbywane. Bano się ogromnych trudności w żmudnym zbieraniu rozproszonego materiału i wolano sięgać po coś bardziej łatwego i dostępnego. Wystarczy wspomnieć, że o Rodakowskim pisał dotąd tylko Mycielski w swym dziele: *Sto lat malarstwa polskiego*. Nowa, obszerna, zakrojona na szeroką skalę monografia Rodakowskiego — to wynik samodzielnych, twórczych badań. Autor nie doznał się ukazania się swego dzieła na półkach księgarskich. Zmarł w czasie jego druku w Ossolineum we Lwowie. Praca o Rodakowskim stawia prof. Kozickiego w szeregu coraz to liczniejszego zastępu polskich badaczy naukowych, którzy postawili sobie za cel nie bieganie w ogonku za tem, co było sławne i uznane w zachodniej Europie, lecz skierowanie całej swej uwagi na polską sztukę i na naszą przeszłość kulturalną, celem zrozumienia jej, wykrycia pierwiastków i walorów własnych oraz ocenienia wedle wartości i kryterijów dla niej właściwych, a nie pod kątem relacjonizmu do kryterijów, uznanych dla sztuki, wyrosłej na innym terenie kulturalnym.

Umarł prof. Kozicki przedwcześnie, w 56 roku życia, we Lwowie, w swym — rzec można — rodzinnym mieście. Chociaż bowiem urodził się w Jackówce koło Tłumacza, a gimnazjum kończył w Stanisławowie, to jednak całe, pełne życie twórcze przeżył we Lwowie. Tu spotykały go zasłużone sukcesy, i tu uderzały weń nieszcześci.

JÓZEF GRABOWSKI

ZAJMUJĄCA RECENZJA

Recenzję należy odróżnić od krytyki. Krytyk wybiera sobie zagadnienia sam i wypowiada się swobodnie. Recenzent jest skrepowany miejscem, tematem i mnóstwem innych względów.

Muszę się przyznać, że nigdy prawie nie czytałem recenzji z wystaw obrazów. Obrzydliwa moda, polegająca na dyplomatycznym załatwianiu sprawy i silenie się na jakąś zgola w tych sprawach niezrozumiałą obiektywność i sprawiedliwość, uczyniła z naszej recenzji pilę nie do zniesienia, która dla nikogo nie jest pożyteczna. — Oczywiście, niema reguły bez wyjątku. Znam wielu inteligentnych recenzentów, którzy tylko przez nieśmiałość, poprostu dlatego, że nie mają dostatecznego autorytetu, trzymają się utartego szablonu, umiają jednak od niego odstąpić w ważnych momentach. Inni znów, właśnie dlatego, że nie zajmują się sztuką i obracają się w sferze starych szablonów, których do nowych zjawisk ani rusz przypasować nie można, stają się zabawni skutkiem niebawem nieporadności i budzącego politowanie zagniewania. Ale ostatecznie, wszystko to razem wzięte, nikogo nie zajmuje, ani nie niepokoi.

Inaczej sprawa się przedstawi, z chwilą kiedy się weźmie do ręki recenzję prof. Pruszkowskiego. Dowiedziawszy się od znajomych, że Pruszkowski w swojej recenzji „Salonu Plastyków” w I. P. S. zajął się moją osobą, postarałem się o odnośny numer *Gazety Polskiej* i wyznając otwarcie, spotkałem się z czemś, na co bynajmniej nie byłem przygotowany.

Zadziwiła mnie niezwykle szczerość i zdolność sformułowania przeżyć artystycznych. Raz wreszcie ktoś odważył się w zwykłej recenzji wyraźnie powiedzieć: *t o j e s t h r z y d k i e*, a *t o d o b r e*, nie dbając o uzasadnienie tam, gdzie ono i tak na nich się nie przydało, — a posuwając analizę bardzo głęboko tam, gdzie do tego nastrocza się sposobność.

A potem, oficjalny przedstawiciel wującego naturalizmu, który nie przekreśla sztuki wyobraźniowej od jednego zamachu, który wyczuwa potrzebę dyskusji poważnej i umie do niej podejść w sposób wykwienny i kulturalny, to w naszych stosunkach rzadkość, budząca prawdziwy entuzjazm. Jakżeż to miło pomyśleć, że ci poczciwi radcy i emerytowani wojskowi, którzy nasze najpoczytniejsze dzienniki wypełniają trywialnymi napaściami na sztukę wyobraźniową w imię naturalizmu, który radziliby reprezentować, zostali zdezwawowani pośrednio przez własnego Boga, przez tego właśnie mistrza naturalizmu, wobec którego, jak sądzę, nie śmieliby puścić pary z gęby.

Prof. Pruszkowski obiecał zająć się moją sztuką w sposób bardziej szczegółowy w jakimś piśmie fachowym. Nie mogę skarżyć się na przemilczanie. Głęboka i sprawiedliwa analiza mojej sztuki, ogłoszona niedawno przez Dra Sterlinga, wystarcza mi

najzupełniej. Niemniej zajmuje mnie sąd Pruszkowskiego — naturalisty. Na razie ograniczył się do uwagi, że moje obrazy nie dorównują moim teorjom. Twierdzenie to uważam za najzupełniej słusze. Myślę, że marzenie jest zawsze lotniejsze niż rzeczywistość. Żałuję, że nie wszystkie sądy prof. Pruszkowskiego o artystach typu wyobraźniowego są równie sprawiedliwe.

Ale to wszystko jest dla mnie za mało. Radbym wiedzieć, dlaczego prof. Pruszkowski nie przeczytał tych obrazów i chciałbym koniecznie usłyszeć z ust jego uwagi, jakie mu się nasunęły. Spodziewam się, że te moje słowa skłonią go do wypowiedzenia się na ten temat.

Myślę jednak, że na ten nie powinniśmy poprzestać.

Mam już dosyć użerania się z ordynarnymi obrońcami naturalizmu. Mam już dosyć złościwości i brutalnych chwytów. Jest pora, żeby polscy artyści zaczęli zastanawiać się nad zagadnieniem sztuki w sposób poważny i rozumny, kierując się jedną tylko myślą, żeby z tej dyskusji zrodziła się jaknajgłębsza świadomość i jak najsilniejsza podnieta twórczości.

Dzisiaj nie pora myśleć o jednolitym artystycznym froncie. Wielokierunkowość sztuki jest faktem naukowo stwierdzonym i sprawa ta nie może być przedmiotem dy-

skusji. (Por. Wallis-Walfisz: *O rozumieniu dążeń artystycznych w dziełach sztuki*). Niemniej, jest rzeczą niezmiernie ważną, żeby przedstawiciele różnych kierunków nauczyli się porozumiewać się wzajemnie w sprawach zasadniczych i cenić należycie wzajemne wysiłki.

Jeśli chodzi o mnie, to radbym od naturalistów dowiedzieć się niejednego. Przede wszystkim, chciałbym wiedzieć, jak załatwiają się z tajemniczym urokiem renesansu. Dlaczego nie duszą się w walce z grozą duchów renesansowych, których może uda się czasem przykuć do siebie na chwilę, na wzór biblijnego Jakóba, ale nigdy nie da się zwyciężyć? Jak można żyć w atmosferze tak beznadziejnej? Czy życie w tych warunkach nie musi stać się wkońcu spletem cierpień i zwątpień ostatecznych?

Chciałbym odczytać odpowiedź na to pytanie między wierszami krytyki Pruszkowskiego. Pruszkowski wyróżnił prace dwojga moich bliskich przyjaciół: Cybisowej i Rzepińskiego, w których talent wielki wierzę głęboko. Spędziłem z nimi wiele chwil niezwykle miłych, na pogawędkach o sztuce i nieraz miałem sposobność rozkoszować się ich kolorytem. Ale nie o nich chciałbym tutaj pisać tylko o tej teorii naturalizmu, którą analiza prac Cybisowej podkrytykowała Prof. Pruszkowskiemu. Cytuję dosłownie: „Rudzka-Cybisowa... maluje z natury, biorąc z niej wszystkie piękne zestawienia, jakie w danym momencie w naturze znajdują się w stanie niedoskonałym. Banalniejszych podpowiedzeń natury Rudzka nie potwarza, zastępuje je wyszukanymi płamami z własnego artystycznego poczucia lub dawniejszego zauważenia wziętymi”.

Muszę się przyznać, że teoria ta wywarła na mnie silne wrażenie, wyczuwam w niej bowiem zasadnicze przekreślenie naturalizmu. Jest przeciw jasne, że skoro natura może podpowiadać banały, to o kulcie natury nie może być mowy. Natura jest daleka od doskonałości. Może wesprzeć naszą wyobraźnię, ale musi jej ustąpić tam, gdzie własne poczucie artysty dostarcza danych więcej wartościowych. Ale jeśli tak jest, to rola natury jest właściwie bardzo skromna. Zdarzy się, że natura podpowie mi coś ciekawego, to oczywiście przyjmę to z rozkoszą, ale niema powodu, żebym zaraz zasiadał do sztalugi i malował. Wystarczy, żeby przeżyte wrażenie zostało w mojej świadomości. Zużytkuję je w właściwym miejscu w swoim czasie. — Jeśli natura niema nic do powiedzenia, to oczywiście wolno mi odwrócić się do niej tyłem. Ale jeśli tak jest, to właściwie cała sprawa jest wodą na młyn sztuki wyobraźniowej. Jeśli raz wolno mi poprawiać naturę w imię rzadkości zestawień barwnych, to dlaczego nie miałbym odrzucać zbanalizowanych zestawień kształtów i wprowadzać na ich miejsce zestawień nowych? — Kolorystyczna inwencja impresjonistów połączona z banałem kształtu działa na ludzi wrażliwych na kształt deprymująco, doprowadzając ich do rozpacz. To jest mniej więcej tak, jak zapuścić się z kimś w dyskusję polityczną, stwierdzić z zachwytem, że jest człowiekiem niezmiernie postępowym i nagle przekonać się, że na punkcie kwestji ukraińskiej lub żydowskiej ma ćwieka zabitego w głowę i na to niema rady. Dawni impresjoniści twierdzili uparcie, że malują, to, co widzą. Ludzie dziwili się, starali się widzieć tak samo, widzieli naprawdę inaczej, ale i tak rozwijali się i uczyli się dostrzegać zjawiska,

o których nie mieli pojęcia. Z tego punktu widzenia odstępianie od naturalistycznego schematu komponowania było trudne do uzasadnienia, albo zgola niemożliwe. Jeśli jednak raz zgodzimy się na to, że nie mamy obowiązku liczyć się z tem, co widzimy, to w imię jakiej zasady, pytam się, będziemy mogli bronić schematu naturalistycznej kompozycji? Nie pozostanie nam nic, prócz dobrego smaku, który nakazuje liczyć się z przyzwyczajeniem. Ale przecież nie kto inny tylko impresjoniści zgwałcili w sposób brutalny prawidła dobrego smaku, wprowadzając na miejsce wykwiennych harmonij barwnych zestawienia tonów jaśniejszych, które po tylu latach raz w sposób przykry widzów posiadających nie dość silną odporność. A potem, zagłębienie się w sztukę dziecka i w sztukę starożytnego wschodu doprowadzić musi czy prędzej czy później do rozluźnienia kryterijów naturalistycznej kompozycji. Co gorsza, musi doprowadzić do uznania naturalistycznej kompozycji za jeden z najbanalniejszych podszepków natury.

Reprodukcje bezbarwnych obrazów impresjonistycznych, spotykane w wielkich ilościach w piśmie artystycznych i codziennych, można brać za kiepskie fotografie, których powstydziliby się każdy ambitniejszy fotograf. Trzeba dopiero wiele opowiadać o tem, że to wszystko zmienia się w oryginał, kiedy zaczną grać kolory. Ale, na miłość Boską, w takim razie, mamy tu do czynienia z jakąś okaleczoną, polowiczną sztuką, — w której jest zajmujący kolor tworzący rozpaczliwie nudne kształty.

Od widza nie można żądać abstrakcji. Jest to złudzenie teoretyków francuskich, którzy chcieli koniecznie stworzyć elitę znawców, osobliwie przystosowaną do przeżywania sztuki wykwienny. Praktyka wykazała, że tacy znawcy są to poprostu kaleki, w które wmowić można, co się zechce. Miałem sposobność wspomnieć już gdzieś o mecenasie, który w obrazie przedstawiającym oskubane koguty dopatrywał się czystej formy, nie przedstawiającej nic określonego. Z drugiej strony, cztery nitki na krzyż można wziąć w pewnych warunkach za pożegnanie Hektora z Andromachą. — Na tę drogę nie zechce wejść napewno, ani prof. Pruszkowski, ani piszący te słowa.

Prof. Pruszkowski wierzy takeamo jak ja w siłę twórczą naszych artystów i nie sądzi, że powinniśmy zacząć od lekcji u Francuzów. Dal tego dowody, kierując swoich uczniów wprost do renesansu i uzyskując imponujące wyniki. Wystawa Bractwa Św. Łukasza, którą widziałem przed laty, była jako droga polskiej sztuki pomyłką, ale jako eksperyment, jako wybuch kolosalnego temperamentu i jako wyzwolenie niebawem możliwych twórczych naszego narodu, była zdarzeniem niezwykle. — Muszę się przyznać, że nie rozumiałem tego w pierwszej chwili. Przeraziło mnie niebezpieczeństwo reakcji i obawa przed zahamowaniem twórczych talentów. Myślę, że może i miałem rację. Może ci ludzie rozbiją się w końcu w poszukiwaniu nieziszczalnego ideału. Ale jest dobrze wiedzieć, że barbarzyńskie Polaki w przeciągu paru lat odebrały wyrafinowanym znawcom wszelkie podstawy do tajemniczego kłowania głowami nad osiągalnością renesansowej formy.

Jest pewne, że Kapiści dokonali tejsamej sztuki w stosunku do impresjonizmu, w jeszcze wyższym stopniu. Chodzi jednak o to, czy na tem należy poprzestać. Trzeba się raz szczerze zapytać samego siebie, czy dorównanie innym jest właściwym celem sztuki. Trzeba się spytać, czy to jest właśnie ta droga, która artyście daje sposobność do wydobycia na wierzch całej świeżości osobistego stosunku do świata barw i kształtów. A może lepiej jest zapuścić się na manowce, może lepiej jest tworzyć rzeczy mało dojrzałe, znajdujące się poniżej naszego poziomu, ale takie, które likwidują zahamowane w dzieciństwie marzenia o załatwieniu się z światem widzianym po swojemu, choćby w sposób nieudolny i banalny. Sztuka jest takim dziwnym zjawiskiem, że żadne pojęcie nie potrafi uzyskać w niej miejsca trwałego. To, co jest najbardziej wyszukane, działa bardzo często jako banal. Naodwrot, wyswiechtany banal przynosi nieraz z sobą niepokojącą tajemniczość i tęsknotę niewysłowioną, dzięki jakiemś drobiazgowi, jakimś nieuchwytnemu drgnięciu, szarpnięciu się na dnie i dążącemu do wydobycia się na powierzchnię. — Otóż, to właśnie zjawisko wydaje mi się najbardziej godnym uwagi. Myślę, że trzeba pilnie baczyc, żeby wiedza i umiejętność nie egnotła go i nie unicestwiła na zawsze.

O sprawach takich wolno rozprawiać jedynie z tymi, dla których wiedza i umiejętność nie jest księgą o 7 pieczęciach. — Rozwój sztuki napotyka na niesamowite trudności dlatego właśnie, że ołbrzymia większość malarzy, — to są ofiary wiedzy, której nie potrafili opanować. Oczywiście, jeszcze w wyższym stopniu odnosi się to do widzów. Tradycja przedwojenna polegała na produkowaniu masowem polinteligentów, którzy mieli patenty na wiedzę, a wiedzy nie posiadali. Tradycji tej nie potrafiliśmy

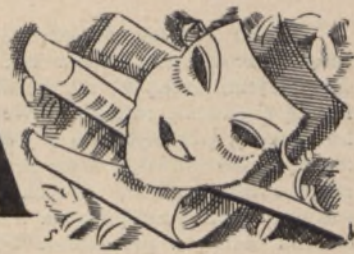


LEON CHWISTEK

Pochód



SZTUKA I ANTENA



Z POWODU SŁUCHOWISKA „HALLO, TU BRYGADA!”

Dnia 16 stycznia nadala Warszawa na całą Polskę słuchowisko Ernesta Johannsena *Brigade - Vermittlung*, w przekładzie Jerzego Kossowskiego i reżyserji Witolda Hulewicza. Autor głosnej noweli *Vier von der Infanterie* (tłumaczonej na 14 języków i sfilmowanej) zdobył i słuchowiskiem swoim sukces niedługo: wystawiano je, czasem po trzy i cztery razy, w 15-tu rozgłośniach 9-ciu państw Europy i Ameryki.

Premjera *Brygady* odbiła się i w Polsce głośnie echem. Przedewszystkiem odezwali się gremjalnie byli żołnierze wielkiej wojny, stwierdzając jednomyślnie autentyczność tego wstrząsającego obrazu walk okopowych. Nazwano utwór Johannsena „nieśmiertelną fotografią” życia frontowego. Podkreślano radijskość konstrukcji, która stwarzała obraz słuchowy nie jednego miejsca, lecz całego odcinka frontu, aż do sztabów pozafrontowych. Wyczuwano dynamikę narastającą akustycznie, od pojedynczych detonacji i jęków brzęczyka telefonicznego, poprzez rosnący huk dział, do huraganowego ognia, który prawie nagle ustaje, by ustąpić pola denerwującemu terkotowi karabinów maszynowych i przygotować przejmującą pointę dźwiękową zakończenia. Skądinąd narzekano na chaos dźwiękowy końcowych fragmentów (chaos do pewnego stopnia przez reżyserję zamierzony) i niedostateczną zrozumiałość licznych części tekstu. Wydaje się nam, że w Niemczech mierze winę ponoszą niedoskonałe odbiorniki licznych słuchaczy w Polsce.

Kierownictwo literackie Polskiego Radja, jak się dowiadujemy, zdaje sobie dobrze sprawę z niedociągnięciem tej skomplikowanej maszyneryi słuchowiskowej. To też powtórzenie słuchowiska *Hallo, tu Brygada!*, wyznaczone na niedzielę 23 lutego, odbędzie się nie z taśmą „Stille”, lecz wykonaną od nowa, „żywem”, przez skorygowany zespół aktorów i po nowem zmontowaniu bogatego tła akustycznego.

Tymczasem zamieszczamy dwa głosy krytyczne, które uzupełniają się poniekąd wzajemnie.

REDAKCJA „SZTUKI I ANTENY”

I

Przyznaję, że mi to „oryginalne” słuchowisko niemieckie zrazu zbyt mocno przypominało *Kres wędrówki* Sherriffa; zresztą podobieństwo było czyste zewnętrzne. Anglosaski analityczny umysł Sherriffa w atmosferze wojny pozycyjnej szukał rozwiązania problemu odwagi. Nie ten jest bohaterem, który niema poczucia niebezpieczeństwa, ale właśnie ten, który ma jego pełną świadomość, boi się, a jednak idzie w ogień. Prawdziwa odwaga polega na tem, żeby przela-

mać uczucie strachu, które jest wrodzone każdemu normalnemu człowiekowi i zachowywać się w obliczu niebezpieczeństwa tak, jakby go nie było.

Poza tem zagadnieniem psychologicznym i niezależnie od niego intencja Sherriffa jest jasna: wykazać absurdalność tych strasznych jatek, w których ludzie giną niewiedomo poco i dla czego. Pacyfizm zrozumiał u wyspiarzy, którym kazano bić się na kontynencie w imię interesów politycznych, ich uczuciom i ich instynktom zgola obcych. Nie dezertują tylko dlatego, że są gentlemanami. Pewien nikły procent Anglików traktował wojnę jako sport. Do czasu. Kilka dni w okopach przekreśliło urok tego sportu.

Postawa Johannsena jest krańcowo przeciwna. Nie sceptycyzm wobec wojny, ale kult dla bohaterstwa jest bodźcem uczuciowym autora. Słuchowisko swoje poświęca uczczeniu poległych. Akcja rozgrywa się podczas ostatnich, najzacieplejszych bojów na froncie francusko-niemieckim. Chodzi o utrzymanie placówki, skazanej na zagładę. Dowiadujemy się o tem dość prędko, zbyt prędko, jeśli chodzi o efekt, z rozmów telefonicznych: brygady z dywizją, ze szpitalem, z odcinkami frontowymi, i z pogwarek żołnierskich. Zbliżanie się niebezpieczeństwa sygnalizują zrazu pojedyncze świsty i wybuchy pocisków, potem coraz gęstszy i gwałtowniejszy ogień.

Trzeba przyznać, że ta techniczno-militarna strona słuchowiska zrobiona jest przez Radjo Polskie bez zarzutu. Kto choć raz był w sferze ognia artyleryjskiego, albo asystował telefonicznym rozmowom na froncie, ten podczas słuchowiska *Hallo, tu Brygada!* doznał tych samych dreszczów tego samego zaparcia tchu, jakie towarzyszyły frontowym przeżyciom wielkiej wojny.

Nasuwa mi się tu drobne zastrzeżenie: miałam sposobność być na froncie polekolszewickim, jako kierowniczka gospody żołnierskiej. Otóż telefoniczne wywoływanie dywizjonów i baterji było zamaskowane imionami, dla dywizjonu — męskimi, dla baterji — żeńskimi.

Wolalo się naprzykład: „Hallo! Marja! Tu Roman!” Kiedy uelyszalam to po raz pierwszy na froncie litewskim w Oranach, miałam wrażenie, że jestem świadkiem szczególnego flirtu. Marja milczała uparcie. — Marja spi! — powiedział dowcipny telefonista. Nad ranem odezwala się Marja. Okazało się, że w nocy Litwini przerwali połączenie telefoniczne między Marją a Romanem, między baterją a dywizjonem. Nie wiem, jak było na froncie francusko-niemieckim. Przypuszczam jednak że i tam, ze względu na wywiad nieprzyjacielski, posługiwano się pseudonimami.

To nie jest zarzut. „Ja się tylko pytam” (jak Eleazar w *Zburzonej Jeruzolimie*)¹.

Słuchowisko *Hallo, tu Brygada!* jest bez wątpienia dobrym reportażem wojennym, tak dobrym, że aż nużącym w swej monotoni. Niemal od początku wiemy, co się stanie na końcu, wiemy, że żywa noga nie wyjdzie z tego kotła. Epizod z młodym rekrutem, który ciągle prosi, żeby, gdy zginie, powiedzieć coś jego matce, jest niewątpliwie prawdziwy, ale tak wyzyskany, że aż mdli. Wiadomo, że młodzi konający żołnierze wzywają matki, starsi, żonaci i dzieci, wołają „moje dzieci! moje dzieci!” — To są sprawy zawsze jednak tragiczne, ostateczne, godne szacunku, jak każde prawo natury. Łańcuch pokoleń: zstępni i wstępni. Człowiek, umierając, pamięta, że został zrodzony, lub że sam zrodził. To jest jego więź z życiem, którą śmierć przecina. W reportażu tego momentu nie może brakować, ale od słuchowiska żądamy jeszcze czegoś więcej.

Czekamy, a to coś nie przychodzi. Znisz-

¹ Kryptonimy formacji i placówek mamy i u Johannsena. Kilkakrotnie słyszynmy nazwę „pułk Wiesengrund”, porucznik żąda „centrali Sedan”, wymienia się „stację Polna Droga”. W innych jednak wypadkach terminologia topograficzna jest jawna. Może to było potrzebne autorowi dla jaśniejszego malowania sytuacji wobec słuchacza. Zresztą w największym nasileniu ognia i ataku żołnierz nieprzyjacieli podsłuchiwać już nie mógł i telefonować można było śmielej; podsłuchy były niebezpieczne przed atakiem, w czasie ciszy poprzedzającej ofensywę. (Red.)

czenie brygady jest końcem słuchowiska, ale nie jego rozwiązaniem.

Hallo, tu Brygada! jest fotografią akustyczną pewnego odcinka rzeczywistości wojennej, ale tej rzeczywistości nie komponuje.

Na specjalną uwagę zasługuje umiejętność i precyzyjne wycieniowanie poszczególnych głosów i intonacji przez reżyserję. Słuchacz od razu zdawał sobie sprawę, czy ma do czynienia z rozmową telefoniczną, czy z bezpośrednią. Równie dobrze zindywidualizowane były głosy pocisków. Synchronizacja piekielnej kanonady i głosów ludzkich nie zacierała sensu słuchowiska.

STEFANIA PODHORSKA-OKOŁÓW

II

Mnie zaś *Hallo, tu Brygada!* przypomina nietylko Sherriffa *Kres wędrówki* — i to najslabiej, ale i Remarquea *Na zachodzie bez zmian* i Barhussa *Ogień* i *Renna Wojnę* i Jüngera *Wśród nawałnicy stalowej* i wiele, wiele innych utworów epickich, które wniosła pierwsza i druga fala pacyfizmu wojennego. I nie może być inaczej, bo wszyscy przeżywali w rowach strzeleckich to samo: drobne własne osobiste potrzeby i olbrzymie potrzeby wojny. Ten kontrast jest wyrażony w *Hallo...* I jeszcze coś specjalnie niemieckiego: pomimo bojaźni, głodu, chłodu, niedostatku, ran, tak ogromne i jakby zmechanizowane poczucie obowiązku wojennego przez *drill*. Wszyscy żołnierze tego opuszczonego zakątka frontu są bohaterami bez pozy. Jakie to ładne! Stacja telefoniczna brygady, funkcjonująca aż do końca, aż nad nią rozbrzmiewają słowa francuskie *sont ils déjà morts, hô! sergent?* — jest symbolem tej woli do wytrwania. To też słusznosc ma Russell, gdy mówi, że rewolucjoniści już się przekonali, że póki niema klęski — żadna ich propaganda nie złamie potęgi tresury wojskowej.

Hallo, tu Brygada! skupia głosy: 1) strzały, 2) telefon, 3) głosy ludzkie, bliskie i dalekie. Jakby w soczewce zbiega się tu cała akustyczna zawartość wojny. Na mnie jednak nic tak nie działa, żaden huk ani krzyk, jak ta francuszczyzna na końcu, jakby głos z innego świata, głos sądu. W oryginale niemieckim musi to wychodzić jeszcze efektowniej.

Nie można sobie tej tragedji rowu strzeleckiego wyobrazić granej w teatrze, tak jak *Kres wędrówki*. Radjo jest tu jedynym materiałem „plastycznym” — oczywiście poza lekturą. Tylko radjo może w ten sposób przybliżyć także materialną klęskę wojny, poprzez medjum niewidzialne, dźwiękowe. Jest jak w tej bajce, gdzie dźwięki oddajały. Co jest bezpośrednio — to czy film?

KAROL IRZYKOWSKI

„ANTENA”

JEDYNY W POLSCE TYGODNIK RADJOWY ZE SZCZEGÓŁOWEMI PROGRAMAMI STACJI KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH

Obfity dział literacki uzupełniony ilustracjami. „Radjotechnika”.

Prenumerata roczna zł. 25.—, kwart. zł. 6.50, mies. zł. 2.25.

Numer pojed. — 60 gr., z przesyłką — 80 gr.

„FALA”

Programy Polskiego Radja. Prenumerata roczna zł. 7.—, kwartalna zł. 2.20.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 62. — P. K. O. 14.018.

przewyciężyć do dziś dnia. Otóż, ludzie, którzy uważają się za inteligentnych, a nie umieją tego, co umieć powinni, mają balwochwalczy kult dla wiedzy. Kult ten przyśmiewa istotną wartość wiedzy, a przede wszystkim ten fakt, że nie powinna być ona celem, lecz środkiem do celu. Nie zapomnę nigdy pewnej malarki, Niemki, z którą kolegowałam w Akademji *de la Grande Chaumière*. Posiadała wiedzę kolosalną, wobec której Tycjan zarumieniałby się ze wstydu. Niemniej uczyła się. Uczyła się, żeby znaleźć cel, do którego wiedza jej miała służyć. Nie potrzebuję dodawać, że ta nauka nie mogła dać dobrych wyników. Ale nie o tych ludziach chcę tu mówić. Zwracam się do mistrza sztuki naturalistycznej i pytam się, czy wierzy, że przez pogłębianie ewej wiedzy zajmie z czasem w historii sztuki światowej to samo miejsce, co Tycjan lub Tintoretto. Jeśli nie, to pocóż daremnie się trudzić? Czy nie lepiej iść drogą ciemną mozolnych badań i poszukiwań nowych możliwości? Może na tej drodze znajdzie się choć jeden kamyczek, przydatny do budowy sztuki dnia dzisiejszego. Takiej sztuki, któraby była dla nas czemś równie świeżym i zabawnym, jak sztuka Tycjana dla arystokracji weneckiej.

Recenzja Salonu Plastyków w I. P. S., napisana przez prof. Pruszkowskiego, jest zajmująca i budzi potrzebę dyskusji. Jest napisana przez prawdziwego artystę i czło-

wieka odważnego i szczerego. Taka metoda krytykowania może zadecydować o rozbudzeniu się bogatego życia artystycznego, pod warunkiem, że nie zamknijemy się w

sobie, ale zechcemy odplacić szczerością i zdobędziemy się na odwagę ogłoszenia tego, co leży nam na sercu.

LEON CHWIŃSTEK



H. RUDZKA-CYBISOWA

Jabłoń

PAMIĘTNIKI

ZOFJA SZYMANOWSKA: *Opowieść o naszym domu*. Lwów—Warszawa (1935). Książnica-Atlas.

Napisana przez siostrę znakomitego muzyka, Karola Szymanowskiego, i dedykowana bratu książka ta jest niewątpliwie wzruszającym objawem miłości siostrzanej. W biografjach ludzi wybitnych spotykamy się niejednokrotnie z postaciami ich siostr, które pełniły przy nich wierną i oddaną służbę ołtarza, chroniąc i wielbiąc zarazem talent, do jakiego były zbliżone. Znany siostry pisarzy mocno, czasami tragicznie związane z życiem swych wielkich braci — siostrę Renana, Rimbauda, Nietzschego. Dlatego nie dziwi to nasilenie miłości siostrzanej, to wdzięczne i pokorne zarazem uczucie, jakie rozlewa się na kartach książki p. Szymanowskiej, opowiadającej o domu rodzinnym i bracie Karolu. *Opowieść o naszym domu* posiada w ten sposób inny nieco charakter niż tak długi dziś szereg wspomnień o ziemi utraconej i o zniszczonym na zawsze raju lat dziecięcych. Jest to nietylko ostatnia fotografia domu, drzew, zwierząt i ludzi, bliskich sercu i jedynie już w sercu istniejących, fotografia, której uroki są dostępne w pełni wyłącznie tym, co tam żyło, — ale hold złożony przez siostrę bratu, który tak pięknie uczył ją historii i który nie śmiał się z jej dziecięcych wierszy, a zachwycał ją muzyką.

Trudno oceniać obojętnymi miarami literackimi książkę, która tak bardzo jest dla wtajemniczonych, tak bardzo jest własnością prywatną, rodzinną. Nie posiada ona kompozycji przemyślanej i jednolitej, składa się z rozdziałów, z których jedne są narracją o zdarzeniach, idących chronologicznie, inne zatrzymują się na miejscu w opisie lub cofają w przeszłość. Większość rozdziałów kończy się westchnieniem, że wszystko to już minęło, a przez to czytelnik nie może żywić sobie na długo przedstawionych mu spraw i ludzi. „Nasz dom” — to typowy, dom kresowy — stary dwór ze strychem pełnym cudownych rupiec, z miejscami, w których straszy, z habunią — modlącą się przed ołtarzykiem ukwieconym — dwór ze starymi sługami, z niešťczęną *m-demoiselle*, wreszcie z ukochanymi koźmi i psami.

W tym typowym, z różnemi odmianami nieraz spotykany w książce ostatnich czasów, obrazie kraju lat dziecinnych, niezaburzonemu błędów przypomnieniem, niepokopany nadziei złudzeniem, uderza, jako oryginalna cecha, stosunek autorki do zwierząt.

W tymosowieckim dworze żyje z ludźmi wiele psów i koni i każdy z nich ma swoje upodobania, grymasy, humory — ma wogóle charakter. Specjalnie zaznacza się przyjaźń z psami, które posiadają wyraźne indywidualności: Ten Scherzo, mały szpic, heczelnie atakujący wielkiego podwórzowca, dopóki nie doczekał się uczciwej porcji zębów — przypomina zupełnie, ni maiej ni więcej, tylko pieski Nalkowskiej, klamujące, skruszone, zawstyżone i śmiejące się wedle skali ludzkich uczuć. Stosunek autorki do jej psich towarzyszy jest pełen serdeczności, uwagi i humoru, tak przypominających nastroj panujący wśród „przyjaciół” Zofji Nalkowskiej.

Przy czytaniu *Opowieści o naszym domu* w nieodparty sposób narzuca się pamięci inna książka, wyrosła z podobnej potrzeby serca — *Błękitny ogród* Felicji Kruszwskiej. I tam był „na kresach” Kochany dom, drzewa, woda, pagórki ziemne, zaprzyjaźnione z gromadką dzieci, z których najmilszy był mały, najmłodszy braciśzek. I Kruszwowska przypomina sobie wszystkie zabawy, całe życie gromadki, do której należała, a którą osłaniał czulemi ramionami dom i fartuch matczyny. I jej szczęście dziecięce zostało zmiecione przez życie — przepadł Kochany dom i drzewa, rozproszył się po świecie jego mieszkańca, a braciśzek najmilszy sercu wyrósł na brata — ulana, który zginął na wojnie. I jej serce tęskniące pamięta o swoich stratach, ale pamięta też o tej największej sprawie: że *zato jest Polska*.

Przed takim stanowiskiem trzeba pochylić głowę. Przepadło na zawsze szczęście rodzinnej ziemi, ale jest Polska.

Tego nie można jednak od nikogo wymagać.

ZOFJA MIANOWSKA

BIOGRAFJE

IKBAL ALI SHAH. *Kemal*, twórca nowej Turcji. Z angielskiego przełożył J. S. Warszawa. Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska”.

Osoby czterech wielkich, współczesnych jedynowładców: Kemala, Mussoliniego, Stalina i Hitlera, wielojęzyczne dzieło dziejowy odwrót od parlamentaryzmu, są kuszącym tematem dla biografów, choć bardziej jeszcze dla socjologów i historjografów. Że jednak pokolenia obecne wszystkich narodów nie obfitują w talenty historjograficzne, z drugiej zaś strony trudno pisać o dyktatorach w oderwaniu od ich roli historycznej, przeto autor świeżo w polskim przekładzie wydanej książki o Kemalu, podobnie jak autor nieco dawniejszej, a na tem miejscu recenzowanej pracy o Hitlerze, upraszcza sobie trudne zadanie. Jeden i drugi starają się o to, by ich bohaterowie jaknajwięcej słowem i czynem mówili o sobie sami. Książkę o Hitlerze oparto więc głównie na wyjątkach z *Mein Kampf*, i relacji o nieudany zamach monachijskim z 1923 r. Książkę zaś o Kemalu w lwiej części wypełnia jego korespondencja polityczna.

Pierwsze rozdziały poświęca autor feljtonowi podróźniczo-historycznemu na temat Konstantynopola, starając się o maximum barwności, zachęcającej do dalszego czytania. Biograficznie traktuje dalszą zwięzłą opowieść o wcześniejszym okresie życia swego bohatera, poprzedzającym jego wielką rolę historyczną. Zarysowuje się tu oblicze duchowe Kemala, indywidualności „kanciarstej”, nieustępliwej wobec trudności i przygód, jakie go, jako młodego, postępowego oficera spotykały ze strony sultańskiego *ancien régime*, indywidualności umiejającej zarazem zachować postawę samostanną także wobec młodo-tureckiego Komitetu „Jedności i postępu”.

Natomiast turecki przewrót państwowy, który wyniknął z klęski, poniesionej przez imperjum otomańskie w wojnie światowej, i którego to przewrotu osią stała się działalność Kemala, przedstawia autor głównie za pomocą obszernych cytów z korespondencji politycznej nowego wodza Turcji. Jest to metoda uzasadniona poniekąd merytorycznie, bowiem w szerokim zakresie korespondencja ta stanowiła bezpośrednie narzędzie Kemalowego czynu. Jednak pewien ilościowy jej nadmiar, zbyt głęboko wprowadzający w szczegóły, nuży czytelnika, tem bardziej, że kościec faktów podstawowych, do kół których rozsuwa się owa korespondencja, zarysowany został niedość wyraziście i jasno. Jeżeli czytelnik te fakty o tyle do brze zna, że zawarte w książce ich przypomnienia dostatecznie mu je uwypuklą, to przed jego oczyma zarysuje się niezmiernie pod względem socjologicznym ciekawy, a historycznie ważki proces stopniowego wyłaniania przez Turcję azjatycką nowej samostannej władzy narodowo-państwowej, która przedstawia się na miejsce uzależnionej od zwycięzców władzy rządu sultańskiego w Konstantynopolu. Postać i czyn Kemala występuje w tym procesie jako główny motor, imponujący siłą charakteru i energią. Jego indywidualna przewaga nad otoczeniem, uewnętrzniona w końcu w militarnym wyzwoleniu kraju od przemocy anglo-greckiej w oparciu o Sowiety, staje się w końcu bezapelacyjna i krystalizuje się w dyktaturze faktycznej — bardziej osobistej i jednostkowej niż gdziekolwiek, znamienne uwydatniającej większą niż gdziekolwiek bierność psychiki narodowej tureckiej i chłonność do poddawania się samowładztwu silnej indywidualności.

Obraz dla czytelnika polskiego jest tem ciekawszy, że z Turcją łączą nas historyczne wspomnienia i sympatie. Proces zaś wyzwolenia jej od następstw klęski w wielkiej wojnie, związany bezpośrednio z angielską próbą neo-bizantyjską, mającą osadzić greków w Carogrodzie, nie był pozhawiony politycznego w swoim czasie kontaktu z naszą próbą wyzwolenia Ukrainy.

Jako dzieło talentu autora książka jest mierna, ale informacyjnie wartościowa. Koczną ją rozdział statystyczny i chronologiczny, w których zobrazowano potężne dzieło Kemala w zakresie wewnętrznej przebudowy społecznego organizmu Turcji oraz przekształcenia jej psychiki zbiorowej w duchu mieszczańsko-europejskim.

ST. SZCZ.

*

BERNARD FAY: *Roosevelt i jego Ameryka*, Tłum. Irena Pannenkowa. Warszawa 1935, „Rój”.

Na okładce książki informuje nas wydawca, że „Bernard Fay, pisarz francuski, prowadzi obecnie w paryskiej (!) Sorbonie kurs wykładów o Ameryce, jako jeden z najwybitniejszych amerykologów i autor paru już prac o amerykańskiej kulturze”.

Coprawda, wymieniona książka Faya nie zdradza „amerykologa”... Dzieło nie ma żadnych pretensyj naukowych. Zawodu też dozna, toby szukał w niem wykładu dobieg splotu zagadnień, z któremi boryka się Roosevelt.

Faya interesują nie tyle problemy, ile raczej ludzie, ich wady i śmiechności. Autor jest karykaturzystą z urodzenia i zamilowaniem. Czarując też umie plotkować. Z ówciernościem nonszalancji i wyższości pokazuje Amerykanów najczęściej od strony anegdotalnej. Fay umie kilkoma kreskami stworzyć szkic, który jednak niewiele ma wspólnego z portretem. Zmysł karykaturzysty deformuje bowiem sposób patrzenia na przedmiot obserwowany. Np.: „...człowiek, który miał usta za małe, brzuch za wielki, czaszkę za okrągłą, ręce spocione i oblicze wydęte gorliwością” — to Hoover zewnętrznie, a uzupełnia tę sylwetkę rysunek psychologiczny: „...miał bodaj jedną tylko zaletę pozytywną: pewną sztywność w inteligencji, pewną cierpkość w charakterze, która pozwalała mu walczyć i trwać w walce aż do końca. Nie był dość przenikliwy, by znać granice swoich możliwości, ani dość mądry, by wyzuczyć złożoność gry politycznej, nie był też dość dumny, by wzgardzić wyzyskiwaniem władzy, ani dość pokorny, by stawiać siebie poniżej kogokolwiek bądź na tej ziemi”.

Książka Faya jest nieraz zanadto „dowcipna” — i to jej największa wada. Autor wszystkie prawie motywy wygrzywa w jednej tonacji. To nietylko nuży, ale bywa niesmaczne. Próżno szukać u Faya np. poczucia wzniosłości. O Waszyngtonie powie: „ograniczał się do tego, że starał się... napełnić puste brzuchy swoich żołnierzy, okrywać ich drżące z zimna ciała, łagodzić ich gorzkniejsze coraz bardziej nastroje. Pani Waszyngtonowa robiła im na drutach skarpetki, a on kupował im kalesony”.

Autor — jak widać — nie ogranicza się do zdjęć migawkowych Ameryki Roosevelta, lecz dla podmalowania tła wciąga w treść książki perspektywy historyczne i uogólnienia „socjologiczne”. Socjologia Faya jest feljtonowa, zawsze interesująca, bo gadatliwa, nieraz trafna, wnikliwa. Sporo jest w książce udanych aforyzmów. Oto jak autor tłumaczy „profesorofobję” w U. S. A.: „Amerykanin jest dumny i nie cierpi tego, czego nie rozumie; otóż szerokie masy amerykańskie otrzymują wykształcenie tylko elementarne, dość krótkie, nie rozumieją więc profesorów i ich teoryj”.

Interesujące są obserwacje Faya z dziedziny życia politycznego, może i dlatego, że tu pozorna satyra zawiera wiele elementów obiektywnych. Fay mówi o „dwóch istotnych sprężynach polityki: nienawiści i nieporozumieniu”, wykrywa

wpływ zawiści i intryg, śledzi mechanizm dyfamacji: „Szepty krążyły, szerzyły się, rosły. Przenikały do umysłów tępych, ciastnych i słabych, to znaczy do wielkich mas ludzkich...” To samo ujmuje dobitnie z przeciwnej strony: „Ludzie rozsądni w Ameryce, jak wszędzie, są nieliczni, niezorganizowani i niezbyt czynni”, a „polityka (amerykańska XX w.) była sztuką operowania ludźmi, przedstawiania im swego towaru w najkorzystniejszym świetle, tworzenia ekipy solidnej, świetnej, posłusznej i zgranej”.

Fayowi zdarzają się też poważne potknięcia. Stwierdza „bezsromnie”, że w kultach protestanckich „tak wielką rolę odgrywa uczuciowość, a zakres inteligencji sprowadza się niemal do zera”. *Kalambury, bon mots*, skrótły Faya możnaby bardzo często z równym powodzeniem — a większą słusnością — sformułować wprost przeciwnie. Uogólnienia bywają nieraz zbyt pospieszne i nieuzasadnione. Samo umiowanie paradoksu nie może wszystkiego usprawiedliwić. Np.: „W polityce nie jest nigdy rzeczą pewną, czy przyjaciele nam się bardzo przysłużą, ale nasi wrogowie są nam zawsze bardzo użyteczni. Oni to określają naszą postawę i ją uwydatniają, używając nam zarazem sympatii i pomocy swoich wrogów”.

Roosevelt jest bodaj jedynym człowiekiem, o którym autor mówi — w miarę swych możliwości — z uznaniem. Taki np. rys: „miał ten dar podwójny, który jedynie czyni człowieka miłym w rozmowie: posiadał tyle myśli, ile ich mieć trzeba, by przerwy milczenia w życiu móc wypełnić gwarem, i był zbyt niezależny od swoich myśli, by kiedykolwiek się przy nich nadmiernie upierać i stwarzać z nich przeszkodę w przyjaźni”. To bardzo wiele, skoro się wie, jak złośliwy jest Fay (Dreiser „z pewnością byłby wielkim człowiekiem, gdyby posiadał talent pisarski”).

Inteligentnie syntetyzuje też Fay: „Roosevelt stara się z humanizować i uregulować polityczne i ekonomiczne życie Stanów Zjednoczonych, uczynić je łagodniejszym i bardziej dla człowieka gościnnym. Chciałby przywrócić Amerykanom upodobanie do rzeczy i do pracy, nie dopuszczając jednak, by się niemi upajali, jak to czynili przedtem”.

Przekład polski książki Faya obfituje w takie „kwiatki”, jak „zrewaloryzować dolar” (277), „już mniej łatwo” (136), „tworzy tylko niemal pewne ramy” (30), „mają białą skórę i biały (!) umysł; włosy ich są blond, trochę konopiate, inteligencja również (!)” (22) i t. d.

AL. S.

KRAJOZNAWSTWO

STANISŁAW RACHALEWSKI: *Baśń i legenda Łodzi*. Ilustrował Franciszek Walczowski. Łódź 1935. Nakładem Księgarni S. Seipelta.

Ustaliła się o Łodzi wysoce niesprawiedliwa opinia, że jest to największe środowisko robotnicze w Polsce, a zarazem najmniej ciekawe, że wyrosło nagle jak grzyb po deszczu i że nie ma własnej historii. Całe to mniemanie oparte jest nietyle na złej woli, ile na ignorancji. Łódź należy do miast najmniej w Polsce znanych. W Paryżu każdy Francuz wie już teraz, że w Polsce jest Warszawa, a potem jeszcze Łódź, w Polsce zaś Łódź stawiana jest zazwyczaj na szarym koncu miast polskich. A przecież zarówno z doniosłej roli, jaką odgrywa ona we współczesnym życiu naszego kraju, jak i z bogatej swej przeszłości tak ściśle i chwalebnie związanej z dziejami Polski, zwłaszcza tej z czasów niewoli, należy jej się więcej uwagi, niż dotychczas. Stara się właśnie nawrócić tę fałszywą opinię o Łodzi na sprawiedliwą wiarę p. Stanisław Rachalewski w obszernej i pierwszej tego rodzaju publikacji p. t. *Baśń i legenda Łodzi*.

Jest to zbiór gadek i podań, snujących się w strzępach jak dymy po zakamarkach proletariackich dzielnic Łodzi, o przeszłości jej mieszkańców i jej samej, które autor, zrosły od dzieciństwa z brukiem łódzkim, obecnie zasłużony redaktor najstarszego w Łodzi dziennika, w dodatku krytyk i poeta, troskliwie zebrał, skomponował poszczególne wątki w oryginalne całości, uporządkował je w cykle, pomnożył o własne impresje i wrażenia z żywej już historii miasta, zakrzepił w liczne legendy, i złożył w bardzo interesującą całość, wzorowy przykład publikacji regionalnej.

Łódź, jako miasto, istnieje już od początków wieku XV, o czym świadczy dokument królewski Władysława Jagielly z dnia 27 lipca 1423 roku, podnoszący „wioskę, Łodzią zwaną, do godności miasta”. Tradycje tkaćkie Łodzi i jej okolicy należą do najstarszych w Polsce. Później więc mówić po próżnicy o amerykańskiej beztradycyjności i dorobkiewiczowskim charakterze miasta? Herb Łodzi, to jeden z najpiękniejszych w znaczeniu symbolicznym herbów miejskich w Polsce: przedstawia łódkę z wiosłem na falach z dewizą *Ex navicula navis*, jakże już dzisiaj symboliczny w swej wymowie. Jeden tylko Paryż prześciga ją pod tym względem, mając jak wiadomo w herbie okręt żaglowy na falach. otoczony dewizą: *Fluctuat nec mergitur*. I jeśli już mamy dopełnić niewątpliwie podobieństwo w tym względzie między Paryżem a Łodzią, to i jeszcze i to trzeba stwierdzić, że jak Paryż jest miastem o najbujniejszych tradycjach rewolucyjnych na świecie, tak Łódź jest mia-

stem o najbogatszych tradycjach tego rodzaju w Polsce. Nie obojętne też, że największy rozwój miasta przypada na wiek XIX-ty, wiek największej rewolucyjności i walk niepodległościowych u nas. Widocznie była to atmosfera zgodna z duchem miasta, które nagle wyrosło do tak olbrzymiego jak na nasze stosunki kolosa, jakby historia opóźniona w nowoczesnych swoich objawach na innych ziemiach naszego kraju, tu raptem chciała powetować i zrekompensować swoje opóźnienie.

Mamy więc w książce Rachalewskiego całą historję Łodzi od jej zamierzchłych aż do naszych dni i to historję tem ciekawszą, z opowiedzianą od strony anegdotalnej i obyczajowej. Wiele autentycznych dokumentów i rzadkich przyczynków obyczajowych wydobył autor z zapomnienia, streszczając je szczegółowo lub też wprost przytaczając, jak np. jeden z najstarszych poematów łódzkich p. t. *Paweł Łódzia-Kubowicz*, napisany przez Włodzimierza Dłużniewskiego. autora jeszcze jednego pozatem poematu niezmiernie ciekawego, choćby nawet z samego tytułu: *Scholastyk i Szwec*. Oba poematy są to dość nawet udane gawdy gęsto rymowane w stylu Syrokomli. Jeszcze ciekawsze są podania o wsparcie do magistratu robotników i żydów łódzkich z połowy ub. w., i żargon żydów łódzkich. Między rokiem 1844 i 1863 nawiedziła Łódź kilkakrotnie tam już zrzędu straszliwa fala bezrobocia i nędzy. I wtedy to właśnie posypały się do magistratu na ręce prezydenta miasta owe charakterystyczne podania. Oto jeden z tkaczy łódzkich, po unieruchomieniu z konieczności swoich ręcznych warsztatów, tak pisał: „Upraszam w imieniu Boga o poparcie mej fabryki na czas wyznaczony. Przysięgam, że oddam robotę, kto będzie żądał, bez żadnego zawodu i zaręczam, że straciłem parę tysięcy dla praktyki robót i doświadczenia akuratnego i moralnego”. A drugi z nich, Karol Radke, w ten znów deseń: „Wielki Boże! Śmierć okrutna wywarła miecz sprawiedliwości wyroczeni Boga? Oto obraz teraźniejszego mego położenia, które wyraża zapewne tkliwe serce Wielmożnego Prezydenta, iż łaskawie wydać mi rozkaże attest ubóstwa na biedny pochówek dobrej mej małżonki, przykladnej matki ukochanych pozostałych dzieci. Pewny, że pocieszony zostanie, wyznaję moje najgłębsze uszanowanie posłuszny, najniższy sługa”.

Po tych dwóch żalonych listach najczystszych „awangardystów” proletariackich z przed wieku, przytoczę jeszcze oryginalną, pełną patosu i rezygnacji biblijnej, petycję żydowską: „Łaskawy oćciec i opiekun nad cały miasto i nad biedne ludzkie, którzy mają się do kogo udać, lecz do Boga, a potem Wielmożnemu Panu Prezydencji miasta Łodzi. Niestety! Niestety! Jezdem na stary wiek, a nie mam żadnego sposobu do życia, a teraz jezd bardzo drogi, czego do jadła potrzebna i nie mogę się wyżywić i czasem cały dzień nie mam co do jadła i muszę się obchodzić, a pracować już nie mogę, bom bardzo zasłabiony na starość i od cierpienia bieda, o spekulacja żadne nie mogą już myśleć, bom się już spodziewam codziennie na śmierć. A prócz tego nie mogę już komory płacić i chcą mnie wyrzucić na podwórze, a jeden grosz nie mam w majątku, alym sobie mogłem rada dać, błagam o litość, padam do nóg, jako najniższy sługa F. Szmulowicz”.

Jak widać z tych przytoczeń ciężko bardzo przychodziło miastu stawać się *ex navicula navis*. Tego wzrostu mozolnego i tych zmagaj ustawicznych wiernym obrazem jest książka Stanisława Rachalewskiego. Najlepszą jej recenzję zawarł w swej pięknej przedmowie do niej p. Zygmunt Kowalewski: „Łódź, miasto przemysłowe, zaledwie od stu kilkudziesięciu lat jest znane na arenie życiowej i zaczyna dopiero pisać swą historję. Tem większą tedy jest zasługa autora, że z wielowiekowego pyłu zapomnienia skrętnie odgrzebał i zebrał pierwociny historii, tchnące czystą poezją podania i legendy ukochanej przez niego Łodzi, miasta rodzinnego. Z wielkim nakładem pracy, w niezmiernie ciężkich warunkach daje autor łodzianowi obrazki z zamierzchłej przeszłości jego miasta. Z umiłowaniem, szczerością i prostotą kreśli życie ubiegłych wieków, przenosząc wyobraźnię czytelnika w odległe czasy. W tych samych miejscach, gdzie dziś ryczą syreny fabryczne, zgrzytają tryby, klekocą warsztaty tkaćkie, szumiały dęby, porykiwały tury, a zamiast dymu z kominów fabryk, wznosiły się opary z łąk i bajorów. A człowiek? Tak samo jak dziś musiał walczyć i zmagać się krwawo o byt, z tą tylko różnicą, że dziś zamiast z puszcą i przyrodą, musi zmagać się z wyzyskiem i zachłannością ludzką”.

Książka Rachalewskiego swoim charakterem nawpół dokumentalnym, nawpół fantastycznym, stoi na pograniczu powieści i prozy ściśle źródłowej. Tem większą zatem ma wartość dla czytelnika.

Wydanie książki przez Księgarnię S. Seipelta wzorowe. Należy zaznaczyć, że to jedyna dzisiaj obok Księgarni Karola Neumüllera firma wydawnicza w Łodzi.

MARJAN PIECHAŁ

MARJUSZ ZARUSKI: *Wśród wichrów i fal*.
Warszawa 1935. Główna Księgarnia Wojskowa.

Gen. Zaruski może być zupełnie zadowolony. Interesująca i dobrze napisana jego książka bowiem porusza i niesie prawdziwą zachętę do uprawiania żeglarstwa morskiego; oczywiście nie wszystkim może być to dane, aby od zachęty przejść do jachtingu, wszak nie jest to takie proste i łatwe. Ale entuzjazm pozostanie. Zaiste wdzięczni jesteśmy gen. Zaruskiemu za to, że „łamał młotem wrzeczki niewoli, prowadził Polaków w góry i na morze. Ażeby się stali twardzi, jak granit, a dusze mieli czyste i głębokie jak morze”. I wdzięczni też jesteśmy Autorowi, że dał nam jeszcze jedną książkę o morzu, o potęgę szturmów i o pięknie życia na morzu. Nie znajdzie się chyba czytelnik, któryby nie uznał z Autorem „jachtingu za dzwignię, która z bezwładu porusza uczucia; uczucia zaś zrodzą żądze czynu”. I nie zawiedzie się na tem, tak jak nie zawiodł się Autor.

Książka dostojnie i ozdobnie wydana (choć trudno się zachwycić bez zastrzeżeń opracowaniem fotografii przez Atelier Girs-Barcz w Warszawie), składa się z kilku rozdziałów, które stanowią odrębne całości; jednakże są one związane w jedną całość misterną kłamrą, „poznania morza i całego jego odrębnego świata”. Choć wszyscy znamy gen. Zaruskiego jako znakomitego taternika i narciarza, twórcę tatrzańskich Pogotowia Ratunkowego, dzielnego kawalerzystę legionowego, który własną zasługą z żołnierza zdobył szlify generała, to przecież imponuje on nam niemało jako żeglarz, jako człowiek morza, organizator i dowódca szkolenia zastępów młodych wilków morskich.

Do najślimniej zarysowanych impresyj należy ustęp *Na krańcach życia*, opowieść prawdziwa o walce ze srogą burzą, kiedy mimo zbliżającego się sztormu wygmano jacht „Helenę” z portu w Pilawie na otwarte morze. Widać zaś w nocy na jachcie „Mohort” zmagani się Wenedów z najeźdźcami Wikingami nie wywołuje żadnego wstrząsu i jest najślimszym rozdziałem w całej książce. O ilez bardziej przemawiają przeżycia *Z podróży na jachcie „Temida I”*, perły narratorskie, które tak zbliżają do niezwykłych trudów, lecz i do prawdziwych zwycięstw uczestników podróży jachtowych do Szwecji, Danii i Norwegii. Groza otchłani wzburzonego Bałtyku i radość pokonywanych niebezpieczeństw znalazły w gen. Zaruskim świetnego epika. Prawdziwie zaś piękne opisy przyrody zwiedzanych łódź i miast, oraz trafne charakterystyki spotykanych ludzi — nępy do poznawania ziem naszych zamorskich sąsiadów na Północy i wspólnego morza.

Bardzo przydadzą się objaśnienia słów i wyrazów marynarskich, dołączone na końcu książki, za które również należy się wdzięczność Autorowi i wydawcom.

JAN BULHAK: *Narocz największe jezioro w Polsce*. Z 38 ilustracjami autora, z przedmową i częścią informacyjną St. Turskiego. Nakładem St. Turskiego. Wilno 1935.

Niewiele krain Polski posiada to szczęście — jak Wileńszczyzna i Nowogródzkie — żeby ich charakter i piękno krajobrazu uwieczniono w tak mistrzowski sposób, jak to czyni Jan Bulhak w słowie i w obrazie fotograficznym. Mało zaś kto łączy w sobie, jak właśnie Bulhak, wybitny talent poetycki i plastyczny, oraz tak wielką znajomość i miłość swoich stron rodzinnych, swej bliższej ojczyzny, gdzie „dobrze mu tam u siebie, w domowej niespiesznej włóczędce”, bo jak sam mówi „my tu w swojskim, domowym zaciszu — i kolejka, i ludzie, i ziemia, i niebo nad tem wszystkim”... Książeczka o Naroczach należy do długiego już cyklu książek Bulhaka, w których słowo i obraz w siebie się splata całości; jest ona jakgdyby rozdziałem sporego dzieła *Moja ziemia*, na które składają się nadto inne wydane już *Wędrowniki fotografa*, jak *Krajobraz wileński*, *Przez Ponary do Trok*, *Człowiek tworzący krajobraz*, *Ruszczywskie dożynki* i *Pojazd Wilna*, tudzież przygotowane do druku *Kalwaria Wileńska* i *Nowogródzkie (Kraj lat dziesiętnych)*.

Co szczególnież znamionuje sztukę J. Bulhaka — to wyjątkowa spostrzegawczość plastyczna, wolna od efekciarstwa, ujmująca w syntetyczną całość charakterystyczne cechy opracowywanego fragmentu krajobrazu, widzianego przez soczewkę. Wrażliwość zaś na kolorystykę, którą wyczuwa się na fotografiach Bulhaka, poznać można w całej pełni w jego impresjach pisanych. Styl opisów Bulhaka jest barwny, zaprawiony miłym sentymentem, niepozubawiony poczuciem humoru. Uderza zaś umiętną selektywność nieistotnych szczegółów, zwracanie uwagi jedynie na najwybitniejsze w danych okolicach zjawiska. W tej formie *Wędrowniki fotografa* mogą uchodzić też za wdzięczne i pożyteczne przewodniki dla tych, którzy pragną zobaczyć i poznać najciekawsze, najbardziej malownicze strony tych zakątków kraju.

Największe jezioro w Polsce, Narocz, zostało dopiero niedawno „odkryte” jako jedno z najpiękniejszych miejsc, godnych poznania. „Morze wileńskie”, o powierzchni 80 km², stało się nie tylko stacją klimatyczną, ważnym ośrodkiem sportów wodnych i wycieczek płaskich. Dokoła Naroczów bowiem istnieje też cuda natury, oryginalne dzieła kultury ludowej i wolne przestrzenie ziemi, wody i nieba, gdzie można być bez przeszkody „sam na sam ze sobą”. Oto tematy opisów Bulhaka, ilustrowanych przez wspaniałe zdjęcia fotograficzne autora. Warto tam zawędrować, mimo trudu podróży, warto tam zamieszkać w wygodnych dwu schroniskach, aby użyć dowoli złoceńskich plaż piaseczystych, świeżej zieleni lasu, błękitu nieba i wody. A w słońcu „wszystko nad brzegiem łni, szumi i śpiewa, a w tej pieśni barw i blasków Narocz ma swój głos odrębny i niepośledni. I ona przyzywa ku sobie hucznie i władnie jak piękna wspaniała królowa, nie znająca sprzeciwu”.

W. A.

TEATR MUZYKA

TEATR KAMERALNY: *Matura*, sztuka w 3 aktach WEADYSŁAWA FODORA, przekład i reżyserja Ireny Grywińskiej, dekoracje Ryszarda Betta.

Łzawo uniesienia publiczności stłoczonej na pierwszym przedstawieniu wskazują, że w tej sztuce znalazł wrzeczki teatr Kameralny swoją „żyłę złotą”. Widziało się bowiem rzeczy niespotykane codziennie: panie z chusteczkami przy oczach, panów odciągających kołnierzyki od gardła laskotanego wzruszeniem, ba, krytyków nawykłych z natury swego zawodu do literackich „chwytów” za grdykę, jak chrząkaniem walczyli z przyplwem roztkliwienia. Wieść o tak wyjątkowej okazji zbiorowego poplakania rozeszła się już napewno lotem błyskawicy i ludzie pociągną na północ Warszawy jak do Klondike.

Ponieważ żadna perswazja nie zdoła zawrócić fali, można mówić bez obawy, że zaszkodzi się temu teatrowi, któremu należy się od losu uśmiechek po ciężkich dopustach. Otóż — niema złota w tej żyłę. Niewiadomo nawet czy jest mika. Wbrew potocznym wierzeniom, że i w teatrze lepszy lut talentu od funta rozumu, nie zdarza się często, aby na terenach tak przedziwnych jak szkolne trafiał na skarby pisarz w rodzaju Fodora. Niemca w nim za grosz namiętności odkrywcy, poszukującego w trudzie i niebezpieczeństwie złota prawd nieznaną. Jest natomiast dużo kalkulacji spryciarza, który wie doskonale o ludzkiej skłonności do łatwych wrzuczeń, przywiązaniu do szablonowych pojęć i niechęci do oglądania rzeczywistości zebranej z codziennego kłamstwa. Awanturkę swoją splata z efektów popolitych i nie szukanych długo.

Więc z jakiegoś listu miłosnego uczniicy, wygrzebanego z kosza do śmieci przez okropną nauczycielkę; z gwałtownego wyznania delikwentki dyrektorowi, że to on właśnie jest tym ukochanym adresem; potem z brutalności śledztwa, ze spazmów i z szamotan się przy oknie, z obłudzenia się serca w przesławowczyni i z uścisków wzajemnego przebaczenia; wrzecz — z zakończenia sporządzonego hyle jak i przedko; dyrektor bierze poważnie wyznanie uczniicy i oświadcza się jej zaraz po maturze, a uczniicy powiada: to był tylko taki sobie wybieg! i odchodzi z narzeczonym.

Rozwiązanie takie, to tak zw. „homba”, której autorowie, zaplątani beznadziejnie we własną gmatwaninę, używają z ostatniej desperacji. Ta, obliczona na przesłonięcie oczu mgiełką rozrzuczenia, wybuchu zbyt gwałtownie. Autorowi nie starczyło już sprytu na przygotowanie widza.

Nie zrobił zaś tego również reżyser (Grywińska), zupełnie bezradny wobec tekstu. Nie chodziło przecież o jakieś zachwale przeróbki. Wystarczyłoby wskazanie aktorce grającej uczniicę, że rozpaczliwe kłamstwo trzeba jakoś zaznaczyć zmianą tonu, pauzą, czy zakłopotaniem. Jednakowy podczas całej sceny z dyrektorem ton najszczerszego przeżycia wywołuje posadzenie uczniicy o zbyt już wyrafinowany cynizm. Poza tem gra Andrzejewskiej, choć zbyt mało zróżnicowana, miała świeżość i siłę. Adwentowny! — to byłby „nowy dreszcz”, ale to jest chyba tylko niezaradność języka, który się w trąbkę zwiąja, gdy przyjdzie do omawiania gry aktora. Zgodnie z tem stwierdzeniem, trzeba wyrzec się omawiania innych wykonawców, dorzucając tylko wzmiankę o dobrej karykaturze Błońskiej.

Wart jest wspomnienia przekład — trudno o gorszy. Słysz się w pewnej chwili z ust nauczycielki literatury, że „słowa unoszą się w powietrzu, jak trujące owady”. Wiedza przyrodnicza humanistów ma bardzo złą sławę, ale to już chyba przesada — trudno by znaleźć polonistę, wierzącego w naiwności ducha, że dla popelnienia samobójstwa wystarczy zażyć np. dwa komary. Zaraz potem jakiś czcigodny pedagog oświadcza z całym spokojem młodej koleżance: „Pani ma kontakt z fizycznym rozwojem dziewcząt”... Na gruby skandal zakrawa ten „kontakt z fizycznym rozwojem”. Calkiem niesłusznie. O złołny zakrętas znać tylko „Pani jako nauczycielka gimnastyki...” Oto — jak powstają potworne plotki, wysadzające z posad zasłużonych pedagogów. Choćby, pocciwcy, nie mieli wspólnego z taką awanturą sentymentalną, w której występuje osobliwy „ściety pień, na którym rozgrywa się cała akcja”. Mogą potem tłumaczyć się, ile dusza zapagnie — nikt im nie da wiary. Cała akcja na ściętym pniu — to naprawdę straszne!

BOHDAN KORZENIEWSKI

FESTIVAL MUZYKÓW SOWIECKICH
W FILHARMONJI WARSZAWSKIEJ

W czwartek 30 stycznia odbył się w sali Filharmonji Warszawskiej wielki festival muzyków sowieckich. Wystąpili: G. Ginzburg — fortepian, D. Ojstrach — skrzypce, M. P. Maksakowa — mezzosopran i W. W. Barsowa — sopran koloraturowy; ohydnie solistki są artystkami oper Moskiewskiej i Leningradzkiej; Ginzburga i Ojstracha miała Warszawa możność poznać już dawniej: pierwszego na konkursie chopinowskim, drugiego w ubiegłym roku na konkursie im. Wieniawskiego. W Warszawie, rzecz można, odbyli oni swój „start” wielkoestradowy.

W ciągu stycznia „ekipa” sowiecka dała w Konserwatorium cztery recitale, na których właściwości talentów przejawiały się szeroko i wielostronnie. Festival był więc zamknięciem i jakby ukoronowaniem tego „nauzajdu” sowieckich artystów, narzucających słuchaczom czarowną niewolę muzyki.

Słuchało się koncertu z tym spokojem, jaki daje pewność, że zawód nie będzie miał miejsca, słuchało się „wygodnie” sprawnej, entuzjastycznym temperamentem prześwietlonej gry Ginzburga, subtelnego tonu Ojstracha, wydobywającego monotonny urok z *La Fontaine d'Arctuse* Szymanowskiego. M. P. Maksakowa swym szlachetnie brzmiącym mezzo-sopranem, aktorską zdolnością gestu i mimiki, urokiem sylwety tchnęła życie w arje Rimskiego-Korsakowa i w szereg pieśni na bis (Grieg, Schubert, Chopin), przyjinowanych z entuzjazmem przez publiczność. To jednak, co było jedyne, swoiste, oryginalne, co słuszenie może stanowić chlubę w dziedzinie sztuki odtwórczej — to śpiew koloraturowy W. W. Barsowej. Nie chodzi tu o sam „materjal” głosowy: bogaty, świeży i czysty mimo wieloletniej pracy śpiewaczej. Chodzi o to, co z tych swoich danych potrafi uczynić syntetyczny talent Barsowej. Koloratura u miernej śpiewaczki jest torturą dla słuchacza, u wielkiej — zdumiewającym popisem gimnastyki mięśni aparatu głosowego. U Barsowej — przedziwnym, trafnym i głębokim środkiem ekspresji muzycznej i charakterystyki. I dlatego koloratura, która zasadniczo jest czemś nienaturalnym, a w najlepszym razie ma walor czysto technicznego efektu, u Barsowej nabiera artystycznej naturalności i prawdy.

Jeśli gra i śpiew Ginzburga, Ojstracha i Maksakowej dawały dużo zadowolenia i radości artystycznej, sztuka W. W. Barsowej swą oryginalnością, swoistym wdziękiem i olbrzymią skalą różnorodności rzuciła na festiwal blask prawdziwej wielkości. Solistom znakomicie towarzyszyli na fortepianie Arkadiusz Makarow i Wsiewołod Popilin.

ST. FURMANIK

PRZEGLĄD PRASY

O SENS WOLNOŚCI SZTUKI. Zagadnieniu ogarnięcia wolności sztuki poświęca J. E. Skiński artykuł w nr. 4 *Tygodnika II*. Autor występuje przeciw poglądom, nakazującym literaturę i sztukę podporządkować względem politycznym i społecznym panującego regimu. „Jest to próba najprymitywniejsza i — powiedzmy otwarcie — barbarzyńska... tak bezwzględna polityka prowadzi do oplakanych rezultatów”. Skiński przytacza przykład Rosji sowieckiej. Można by dodać również: Niemcy. Autor nie godzi się jednak na zasadę bezwzględnej liberalizmu w sprawach sztuki, gdyż „dzieło sztuki ma żywot niejako podwójny: jako źródło wrzuczeń estetycznych i jako czynnik, urabiający społeczeństwo praktycznie, w pewnym określonym kierunku”. Poza tem stwierdza Skiński, że błędne jest twierdzenie jakoby w konkretnym wypadku zwalczania przez krytyka dzieła sztuki zachodziło zagadnienie walki moralisty z czystym artystem, gdyż jest to zawsze walka dwóch typów moralności. („Moralista jest tak samo Bossuet jak Céline. Céline też broni pewnej moralności... przyjmującej pewne podstawy, odrzucającej inne...”). Wobec tego dochodzi Skiński do następującej konkluzji: „Obieg społeczny dzieła sztuki musi być regulowany. Należy ściśle rozgraniczyć dzieła, mogące mieć swobodny obieg społeczny od innych, zarezerwowanych wyłącznie dla elity społeczeństwa”.

ARTYŚCIE WSZYSTKO WOLNO... Temu samemu zagadnieniu poświęca K. Troczyński uwagę w nr. 15 *Dziennika Poznańskiego*. Wychodząc z innych założeń niż Skiński, dochodzi do wniosku, że artyście wolno wszystko, ale tylko wtedy, jeśli stworzy „na d b a d o w e” artystyczną nad kompromitowaną rzeczywistością. „Kaźde bluźnierstwo artysty, każda kompromitacja rzeczy wzniosłych i sakralnych musi mieć p o k r y c i e”. Troczyński

więc również ogranicza wolność sztuki. Zagadnienie wolności sztuki, tak bardzo aktualne współcześnie, zostało przez Skińskiego i Troczyńskiego oświetlone w nowy sposób. Dotychczas sprawę traktowano bardzo prymitywnie — albo zgóry rozstrzygało się ją na korzyść bezwzględnej wolności sztuki, albo też pochopnie apelowano do prokuratora. Obecnie otwierają się nowe perspektywy na ten problem. Wobec aktualności zagadnienia powinna się rozwinąć dyskusja nad niem.

O DAWNY PRZEKŁAD KIPLINGA. W kolumnie literackiej *Kurjera Wileńskiego* z dn. 26. I. b. r. znajduje się artykuł Józefa Maślińskiego p. t. „Tropami Kiplinga”. Maśliński zestawia urywki z *Księżki Dżungli* Kiplinga w tłum. Czekalskiego, Mianowskiego i Birkenmajera. Maśliński uważa, że stary przekład Czekalskiego przewyższa tłumaczenie Birkenmajera „naturalnością wysłowienia, sugestywnością dobrze w polskim uchu dźwięczącej zwrotki, lekkością i zgrabnością stylu”. Przytoczone urywki potwierdzają sąd autora. M. zwraca się do firmy Gethnera i Wolffa, żęby wydała na nowo wyczerpany przekład Czekalskiego „z koniecznymi poprawkami w terminologii oraz ewentualnym uzupełnieniem”, gdyż rozpowszechniony przekład Birkenmajera nie daje właściwego wyobrażenia o Kiplingu.

DWIE REDAKCJE „RANKU W GÓRACH” ASNYKA. W nr. 4 *Prosto z mostu* umieścił prof. I. Chrzanowski dwie redakcje znanego wiersza Asnyka. Różnica między nieznaną wcześniej (*Wspomnienie z pod Giwonu—Pannie Zofji od albumu*) a późniejszą redakcją polega przede wszystkim na usunięciu z późniejszej wierszy, odnoszących się do spotkania w górach z p. Zofją Kaczrowską. Prof. Chrzanowski tłumaczy przytoczoną, z powodu której Asnyk w druku wyeliminował wiersze o p. Zofji — mianowicie w roku wydania tomiku poezji, w którym A. umieścił *Ranek w górach*, p. Zofja, żona poety, już nie żyła. Asnyk od czasu śmierci żony „nie mówił światu o sobie”, zamknawszy „wszystkie żywota gorczyce w sercu jak w grobie”. Zmiany, jakich dokonał poeta w redakcji wiersza, rzucają interesujące światło na tego dyskretnego człowieka i subtelnego artystę. Na marginesie można by zauważyć, że druga redakcja pod względem artystycznym jest o wiele lepsza; wiersz, pozbawiony sentymentalizmu, zyskuje na zwartości i głębi.

W. BAK

CO TO JEST ŚWINSTWO? Pod tym niewybrednym tytułem pojawiła się w Nr. 12 dwutygodnika *Poprosto* następująca notatka: „Kto jeszcze nie wie — niech przeczyta artykuł akademika Irzykowskiego w numerze 3-cim „Pionu”. Pisz on: „A przecież słusznie powiedział Leon Kruczkowski: „Trzeba bohaterstwa, żeby być młodym i nie komunikować”. Irzykowski doskonale wie, że autorem tego idjotyzmu jest nie Leon ale Andrzej Zbigniew Kruczkowski, którego w „Wiadomościach Literackich” użyto jako kruczka. Świadomie przekręcając imię Irzykowskiego popelnia czyn cudownie nadający się do rubryki „ordynarne świństwo”. Jedyne wyjście honorowe dla akademika Irzykowskiego, to natychmiastowe sprostowanie. Może być bowiem, było to fałszerstwo redakcji „Pionu”, za czego przemawiała doskonała charakterystyka Kolaczewskiego: „Pion” działa jak wszelka bezmyślność” („Marcholt” nr. 1)”.
Tyle wytwornych określeń w sprawie niewartej większego zachodu. Możemy zapewnić *Poprosto*, że p. Irzykowski świadomie nie pomylił imion Kruczkowskich i omyłkę tę chętnie prostujemy. Ale poco zaraz tyle insynuacji i powoływania się na autorytet nieodpowiedzialnej, ho niczem nie umotywowanej oceny *Pionu* przez redaktora *Marcholta*? Wszak to ani nie bojowe, ani nie proletariackie w swym sposobie — ale poprosto ordynarne i naprawdę pożałowania godne w piśmie wybitnie ideowym. A na pytanie *Poprosto* może da najlepszą odpowiedź trafne przysłowie niemieckie, brzmiące poprosto: *dem Reinen ist alles rein, dem Schweine ist alles Schweine...*

W. BAK

SOBOWTÓRY NAZWISKOWE. Historia Domeyki i Dowejki, gdy się trafi w życiu literackim, jest równie kłopotliwa jak za dawnych czasów. Mamy dziś w literaturze Grubińskiego i Grabińskiego, dalej: parę pań Dąbrowskich, Dobrowolską i Dąbrowską, do niedawna było paru Choynowskich, żyją dwaj świetni pisarze Wasilewski i Wasylewski, ba — Wasilewskich jest aż dwóch. Sposobności do pomyłek i do djablików drukarskich jest co niemiarą. W kogo to trafi, czasem rozgniewa się jak Domeyko, i zdarzyło się raz nawet żądanie, by ten ktoś czy ktosia podobna zmieniała nazwisko. Otóż tym razem rozeźlił się stary szlachcic Leon Kruczkowski, a raczej w jego następstwie rozgniewało się piśmienko *Poprosto*.

Poprosto nie dojrzałem tym razem korekty, a pomylił się p. Blüth. Ale — już nie poprosto — aforyzm: „Trzeba dziś bohaterstwa, żeby być młodym

i nie komunizować" mógłby był wygłosić i Leon Kruczkowski, nie ubliżając swemu światopoglądowi. Nawet Brzozowski byłby się go nie powstydził.

Ale skoro jest jakaś groźba, to się już boję i prostuję natchmiast, w tej chwili, stante pede:

Nie Leon jest autorem powyższego aforyzmu, lecz Andrzej, Andrzej, słyszycie! — Andrzej; Leon by takiej rozsądnej rzeczy nigdy nie powiedział, nigdy, nigdy!

KAROL IRZYKOWSKI

KRONIKA

WIECZORY DYSKUSYJNE P. A. L.

Dwa ostatnie wieczory dyskusyjne Polskiej Akademii Literatury były bardzo ożywione.

W grudniu mówił prof. Tadeusz Kotarbiński o teorii walki. Wykład bardzo precyzyjny, jasny, i pouczal i sprawiał zadowolenie estetyczne. Prelegent mówił o różnych rodzajach i zasadach walki; walki dialektyczne (polemiki), walki w grze np. szachowej, walki wojenne, walki polityczne rozpatrywał pod filozoficznym kątem widzenia. Takie zasady jak *getrennt marschieren, vereint schlagen* albo *divide et impera*, takie alternatywy jak ta, czy skupienie sił daje większą siłę uderzającą czy zmniejsza ją, takie klasyczne przykłady jak walka Horacjuszów z Kuracjuszami, — ileż filozofii, ileż problemów potrafił prelegent znaleźć w tych sprawach zacierpniętych z surowego doświadczenia, z codziennej praktyki życia! Prelegent stwierdził stopniowe wylaczanie metod walki, zakończył akordem pacyfistycznym.

Długa i gorąca była dyskusja, ponieważ dyskutanci nie weszli na teren prelegenta, lecz usiłowali go wciągnąć w koło sprawy innej: czy wszystkie środki walki, prowadzące do wygranej, są etycznie pożądane? Czy czasem nawet klęska nie jest lepsza od zwycięstwa? Dyskutanci spierali się o to między sobą, prelegent w słowie końcowym uchylił się od prowokacji dyskutantów, — w swoim seminarium filozoficznym byłby może nie dopuścił do takiego rozproszenia myśli.

Na wykładzie był obecny mistrz szachowy Przepiórka.

W styczniu, wobec czekających nas zmian ortografii, urządzono dwugłos dyskusyjny: prof. Stanisław Szober mówił na temat „Tradycjonalizm i demokratyzm w ortografii”, prof. Witold Doroszewski, członek potężnego Komitetu do zmian ortograficznych, mówił o „Ortografii i kwestjach pokrewnych”. Obydwa wykłady, pięknie wygłoszone, stały na szczycie wiedzy w tym zakresie.

Prof. Szober wykazywał, jak w języku żyje przeszłość; każdy fakt słowotwórczy należy do innej warstwy historycznej. Reforma ortograficzna, która się z tem nie liczyła, za cenę krótkotrwałych ułatwień w szkole sprawiła to np., że dawna książka polska stała się mało dostępną. Tradycji przypisuje się znanie arystokratyzmu i przeciwstawia się demokracji. To ma cechy demagogii. Niektóre z proponowanych zmian (żyto przez rz albo rzeka przez ż) są wręcz antydemokratyczne. Niektóre powołują się na radykalną reformę ortograficzną w Rosji, ale to jest reforma przedwojenna, mająca na celu nacjonalizację ortografii, która zawierała dużo bułgaryzmów. Pisownia nasza wymaga reformy, ale oprócz się musi na materiale przekazany nam przez tradycję. Lud sam robi różne odróżnienia — i godzi się w demokrację, gdy się pisownię zanadto upraszcza.

Prof. Doroszewski porównywał pisownię z tą częścią Rzymu, która powstała bez wysiłku kierowniczego. Wieki składały się na nią, ale wieki nie pracowały. Naukowe opracowanie pisowni ma ukazać istotę zmian naturalnych. Pisownia fonetyczna, której domagał się pewien poeta (futurystyczny, Jerzy Jankowski), jest trudniejsza niż morfologiczna, i społecznie utrzymać się nie da. Baudouin de Courtenay powiada: człowiek ma nie tylko prawo ale i obowiązek doskonalenia swoich narzędzi społecznych. A więc i pisowni. To doskonalenie zaś może się również stać elementem tradycji narodu i to tradycji dynamicznej. Prelegent przechodzi do specjalnej kwestji ortograficznej: łącznego i rozdzielnego pisania wyrazów. Jest teraz tendencja, żeby w określeniach czasu, sposobu i t. p. łączyć jak najwięcej wyrazów w jeden. Tradycja pod tym względem jest chwytliwa i spreczna. Gdy się tych łączy nadużyje, niewiadomo gdzie się zatrzymać.

Na bok i nabok, w lot i wlot — to co innego. Nie należy zacięrać obrazowości porównania. Rozsądnie zastosowana pisownia rozdzielna, za którą się oświadczyła komisja warszawska Komitetu Ortograficznego (obradującego w Krakowie pod egidą Akademii Umiejętności), nie prowadzi do żadnych kłopotów, do tej *conscientia scrupulosa*, która dziś ogarnia każdego, gdy ma pisać takie wyrazy jak: *do góry* (czy *dogóry?*), *napamięć* (czy *na pamięć?*), *nie do wiary* (czy *niedowiary?*). Łączenie powinno być tylko tam, gdzie zwrot stanowi już pewną uczuciową całość.

Niktly się nie spodziewał, że taki temat jak ortografia potrafi wywołać tak gorącą dyskusję jak ta, która się po tych referatach wywiązała w P. A. L., — najgorętsza ze wszystkich, jakie tam były. Bo chociaż świątyni Komitetu pisowniany w Krakowie już obraduje, ale żar sporów zasadniczych, jakie poprzedziły jego obrady, jeszcze nie ostygł. Całe światopogląd odbijają się nieraz w tych drobnych zmianach.

Najpierw dyr. Ostrowski zaatakował tradycjonalizm (chyba rzekomy?) prof. Szobera, ze stanowiska pedagogicznego. Również jako pedagog przemówił b. instruktor polonistyki dr. Saloni; w namietnem, dłuższym *exposé* powiedział, że trzeba stanąć na stanowisku szarego człowieka, usunąć ó, zamiast *ch* dawać tylko *h*, wprowadzić jednolitość *j* i *i*, zamiast *rz* wprowadzić *z*.

Pozycji prelegentów bronili wybitny krytyk liryki K. W. Zawodziński. Między innymi powiedział, że także w Rosji sowieckiej pisownia nie jest rzeczą prostą i błędy są tam tak popularne jak przedtem. Czy więc nie należałoby poprosić o zmianę, że umiejętność ortografii jest rzeczą nie obowiązującą ogółu? Mówca mówił to bez ironji. Możeby przestać zwracać uwagę na subtelności ortograficzne, zaniechać tej grubej przesady, jakoby błędna pisownia u kogoś świadczyła o jego umyśle i wykształceniu. Możeby wystarczyło, żeby kilkuset ludzi opanowało dobrze pisownię. Natomiast pomnożyć liczbę korektorów w drukarniach. Mówca uważa, że Polska Akad. Lit. będzie stała na stanowisku tradycji.

Sprzeciwiał się Zawodzińskiemu p. A. Sieczkowski, omawiając szereg przykładów (jest np. za *ilustracją* zamiast *illustracją*). Neutralnie, pokojowo przemówił insp. Szczerba. Akademię Boy-Zeleniński, również członek Komitetu Ortograficznego, postawił znak zapytania nad zaufaniem p. Zawodzińskiego do P. A. L.: Tradycja polska w tej sprawie była ciągle naruszaniem tradycji, bo wciąż zmieniano pisownię, i zasada *nil novi* byłaby największym nowatorstwem. Nie zdaje mi się, żeby przedstawiciel Akad. Lit. miał w Komitecie reprezentować najzacieklejszy konserwatyzm.

Prezes P. A. L. Sieroszewski w krótkim przemówieniu powiedział, że radby, aby zagadnienia pisowni traktowano według zasady najmniejszego wydatku sił.

Odpowiedział jeszcze prof. Szober, między innymi p. B. Zelenińskiemu: Zaden z reformatorów pisowni nie zdołał posłuchać w społeczeństwie polskim. Zmieniała się pisownia, ale nie zmieniała się grafika.

Na wieczorze był obecny wiceminister Sprawiedliwości p. St. Sieczkowski, który w swoim resorcie robi bardzo dużo dla poprawności języka urzędowego.

Szczególny epilog miała polemika w P. A. L., gdyż przeniosła się na łamy — ktoby się tego spodziewał? — socjalistycznego *Robotnika*. Jego sprawozdawca, pisząc o wie-

czorze w P. A. L., zauważył, i słusznie, że hasło „frontem do szarego człowieka” do pisowni zastosować się nie da, bo gdyby pójść za tą wskazówką „należałoby chorych leczyć nie według wskazań lekarza, lecz według przepisów felczera”. Na to odpowiedział w *Robotniku* dr. Saloni, że ortografia nie jest nauką tak jak medycyna, lecz przepisem obyczajowym tak jak t. zw. *savoir vivre*. „Dotychczasowa ortografia jest ortografią elity, ponieważ, jak okazuje praktyka, w 7 latach uczenia się „szary człowiek” nauczyć się jej nie może”. Sprawozdawca podtrzymał jednak swoją tezę, dowodząc w dowcipnym artykule, że ten front byłby „defetyzmem językowym” i kapitulacją przed „griaudszym chamelem”. W praktyce ten front byłby stosowaniem się do wymagań niejednego maturzysty, który nie lepiej się orientuje w geografii lub w arytmetyce jak w ortografii. Czy jeżeli on powie, że Ateny leżą w Irlandji, należałoby stolicę Grecji przenieść do Irlandji?

Co do mnie, to jestem tego samego zdania, co sprawozdawca *Robotnika* i wskazuję jeszcze na następujące argumenty: 1) nie docenia się „szarego człowieka”, postępuje się z nim tak samo jak z „ludem” i robotnikiem, kiedy to hasłem postępu było tworzyć teatry i sztuki specjalnie dla ludu, a lud odrzucił degradację; 2) pisownia języka polskiego jest dziesięć razy łatwiejsza od pisowni francuskiej a pięćdziesiąt razy od angielskiej, a jakoś robotnik angielski swej pisowni się uczy i w języku angielskim piszą na całym świecie; 3) przychyliam się do zdania p. Zawodzińskiego, że niech ludzie błędą, to nie nie szkodzi, wzór lepszy powinien być mimo to utrzymany; z tem jest jak w etyce; nie uda się jej idealów obniżyć do poziomu „szarej duszy” i szara dusza może sobie tego nawet nie życzyć; niech będzie jakieś napięcie między ideałem a życiem, niech sobie nawet żyją błędy i nieustanna chęć poprawy; na tem polega dynamika życia.

KAROL IRZYKOWSKI

*

EGZEMPLARZE RECENZYJNE.

Poczta redakcyjna przynosi codziennie dziesiątki książek, nadsyłanych przez autorów i wydawców do recenzji. Przeważnie są to egzemplarze autorskie, rzadziej — od wydawców.

Książki te przechodzą dziwne koleje, zależnie od typu czasopisma, do którego je skierowano. W czasopiśmie naukowym i specjalnym — każde dzieło z zakresu reprezentowanej przez ten organ dziedziny jest powierzone do oceny odpowiedniemu znawcy. W tygodnikach, miesięcznikach literackich i ogólnych (t. zw. literacko-społecznych, literacko-politycznych i artystycznych), a szczególnie w redakcjach dzienników, częściej tylko wędrują one do referentów. Reszta tonie w otlachaniach redakcyjnych, czytana i rozpożyczana przez współpracowników, nie podlegając żadnej kontroli i ewidencji, do jakiej skłaniałby stosunek autorów do redakcji, polegający nie na akcie bezinteresownego daru, lecz na zaufaniu.

Egzemplarze recenzyjne są sporym ciężarem materialnym dla autorów i wydawców, którzy, zależnie od okoliczności, wzajemnie go na siebie przerzucają, stosunkowo niewielkie osiągnęjąc z tego korzyści moralne.

Nieporządku redakcyjnego, kończące się sporadycznym czyszczeniem zasobów nadsyłanych a nieomówionych książek, przechodzących wtedy do prywatnych zbiorów członków redakcji, mają ten przykry wynik dla ohydny stron, że autorzy i wydawcy przestają polegać na celowości przesyłania dzieł do recenzji redakcyjnej i oprócz tego osobliwie ofiarowują je referentom poszczególnych działów z prośbą o omówienie, podczas gdy teoretyczną zasadą jest, iż egzemplarz redak-

cyjny po omówieniu go staje się własnością sprawozdawcy.

W sprawach tych należałoby wprowadzić więcej poczucia odpowiedzialności, skierowując je zarazem na drogę pożytku społecznego. Jeśli bowiem zważymy, że do każdej redakcji wpływają rocznie setki egzemplarzy książek, które potem, omówione czy nieomówione, w ten czy inny sposób marnują się, a jednocześnie stwierdzimy, że setki bibliotek państwowych, komunalnych i społecznych ledwo wegetują z powodu braku środków na zakup książek, to wniosek stał się łatwy podtrafimy wyciągnąć. Niektórym bibliotekom udało się już wejść w korzystny dla nich, a społecznie i kulturalnie tak doniosły, kontakt z pewnymi redakcjami. Są to, niestety, transakcje nazbyt rzadkie i trudne do regularnego wykonywania.

Drugim momentem odpowiedzialności redakcyjnej jest należyte zorganizowanie samego działu recenzyjnego, wzbudzające zaufanie autorów i wydawców. Polega to przede wszystkim na obowiązkowym notowaniu wszystkiego, co nadejdzie. Taka forma potwierdzenia odbioru jest stosowana przez większość naszych czasopiśm i dzienników w rubryce „Książki nadesłane do redakcji”, a zarazem zgrubsza, aczkolwiek bardzo przypadkowo, orientuje ona czytelników w bieżącej produkcji wydawniczej. Następnie — dla korzyści wszystkich stron zainteresowanych — ważnym jest regularne recenzowanie możliwie dużej ilości nadesłanych w tym celu dzieł.

Zjawisko nieracjonalnego gospodarowania t. zw. egzemplarzami recenzyjnymi nie jest bynajmniej osobliwością naszych polskich stosunków. Widocznie i w innych państwach musiało ono przybrać formy zbyt nienormalne, skoro do jego uregulowania przystąpiły, na przykład, Niemcy.

Mianowicie centralny organ normatywny i egzekutywny do spraw piśmiennictwa — *Reichschrifttumskammer* — poczynił niedawno szereg nadwyras celowych zarządzeń w tym kierunku. W najogólniejszych zarysach sprowadzają się one do: obowiązku potwierdzania przez redakcję w ciągu miesiąca odbioru dzieł, zażądanych przez nie lub otrzymanych bez zażądania; recenzje muszą się ukazywać w dziennikach w ciągu 3-ech miesięcy, w innych czasopiśmie — w ciągu 6 miesięcy od daty otrzymania dzieła, przy czym musi być w omówieniu zawsze podane nazwisko autora, tytuł i ilość stron; jednak podanie tylko tych szczegółów nie może być uważane za recenzję. Najważniejszym w tych przepisach jest stwierdzenie, iż każda książka nadesłana do redakcji pozostaje własnością wydawcy, względnie autora, do czasu ukazania się recenzji, i wynikający stąd obowiązek zwrócenia książki właścicielowi w ciągu 3-ech, ewentualnie 6-ciu, miesięcy w razie nieomówienia jej w tym czasie.

Z zarządzeń tych wynika: prekluzyjny termin ukazania się recenzji, obowiązek potwierdzenia odbioru i prawo własności autora, czy też wydawcy, w razie niezakwalifikowania dzieła do omówienia.

Jest to posunięcie bardzo doniosłe, zasługujące na zastanowienie się i u nas nad kwestją słusznego i racjonalnego uregulowania stosunków w tej dziedzinie, tem bardziej, że taki sposób rozstrzygnięcia pozostawia redakcjom wolną rękę w dysponowaniu egzemplarzami dzieł już omówionych. Te właśnie mogłyby z wielkim pożytkiem służyć uboższym w środki bibliotekom, wciągając między innymi redakcje na listy czynnych propagatorów czytelnictwa.

STEFAN RYGIEL

Książki nadesłane do Redakcji

POWIEŚĆ

JÓZEF BIENIASZ: *Duch Czarnohory*. Powieść. Lwów 1936. Księgarnia T. S. L.

JÓZEF BIENIASZ: *W puszczy nad Salatrkiem*. Powieść. Ilustracje Romana Gnaedingera. Warszawa — Lwów (1936). Księgarnia Polska „Leopolia”.

JERZY BOHDAN RYCHLIŃSKI: *Przygody Krzysztofa Arciszewskiego*. Lwów — Warszawa (1935). Księgarnia-Atlas.

M. H. SZPYRKOWNA: *Powerót na Baltyk*. Książka pierwsza: *Błękitne pogranicze*. Książka druga: *Miasto na żaglach*. Warszawa 1935. Skł. Gł. Inst. Wyd. Biblioteka Polska S. A.

POEZJE

STANISŁAW JERZY LEC: *Satyry patetyczne*. Warszawa 1936. M. Fruchtman.

STANISŁAW CZAJKOWSKI: *Apollinida*. Warszawa 1935.

FRANCISZEK LIPINSKI: *Cherubinowy lament*. Wiersze i poematy. Kraków 1935. „Nauka i Sztuka”.

MICHAŁ PEKAŁSKI: *C-moll*. Warszawa 1934. Skł. gl. w D. K. P.

IL VANDEY: *Gdy życie się rwie*. Kraków 1936.

JANUSZ M. DOMOSŁAWSKI (VANDEY): *Z krainy ducha*. Wybór poematów. Kraków 1935.

TADEUSZ SARNECKI: *Poszukiwanie siebie*. Warszawa — Zamość 1935.

HISTORIA SZTUKI

DR. ZYGMUNT PRZYREMBEL: *Farfurnie polskie dawne i dzisiejsze*. (Materiały do historii polskiej ceramiki.) Lwów 1936. Gubrynowicz i Syn.

OD ADMINISTRACJI: Niniejszy numer wychodzi z opóźnieniem z powodu strajku pracowników drukarskich.

Wielki rynek prowincjonalny zdobywa firma

pomieszczająca ogłoszenia w dzienniku

„Express Lubelski i Wołyński”

XIII rok wydawnictwa.

NAJWIĘKSZY NAKŁAD NA WIELKIM OBSZARZE WOJEWÓDZTW: LUBELSKIEGO I WOŁYŃSKIEGO.

Egzemplarze okazowe, prospekty, szczegółowe oferty i plany kampanji ogłoszeniowych, opinie dotychczasowych inserentów, odwiedźmy akwizytorów — na każde żądanie.

Adres wydawnictwa: Lublin, Kościuszki 8, tel. 23-60.

Informacje w Warszawie przez telefon 9-28-82.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. zł. 1.80; kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.